

Odzyskać miasto

Samowolne osadnictwo, skłoting, anarchitektura

Jarosław Urbański

2005

Spis treści

Słowo wstępne	3
Rozdział 1. Miasto więzienie	4
Rozdział 2. Ruch samowolnego osadnictwa	12
Rozdział 3. Wyzwalanie przestrzeni zawłaszczonej	26
Rozdział 4. Od samowoli do partycypacji	33
Rozdział 5. Czy (wolna) architektura istnieje?	38
Rozdział 6. Zakończenie bez happy endu	50

Słowo wstępne

Urbanistyka | architektura mogą odzwierciedlać zarówno potrzeby mieszkańców miast, Jak również cele i interesy grup posiadających wpływy i pieniądze. Książka ta jest opowieścią o społecznych ruchach miejskich starających się „odzyskać”, utracone na rzecz władzy i biznesu, „tereny miejskie”, budując real-utopie, gdzie życie rządzi się innymi, niż oferowane przez system, regułami. Zastanawiam się też nad konsekwencjami politycznymi uczestnictwa w tych ruchach i rozwijam niektóre wątki podjęte przez Rafała Górskiego w „Demokracji uczestniczącej w samorządzie lokalnym”, oraz nad problemami konfliktów społecznych, do jakich dochodzi w mieście, kontynuując z kolei niektóre zagadnienia podjęte przeze mnie w „Globalizacji i konfliktach lokalnych”. Postanowiłem także prześledzić różne koncepcje architektoniczne, próbując określić wątki i nurty najbliższe anarchizmowi. Wszystko to staram się umieścić w kontekście ogólnego spostrzeżenia, że w ostatnich latach dramatycznie wzrosły nie tylko ekonomiczne, ale i przestrzenne dysproporcje społeczne. Mamy do czynienia z rosnącą segregacją przestrzenną w mieście i ze wzrostem represyjności, co z pewnością jest następstwem totalnej, konsumpcyjnej reorganizacji życia społecznego i następstwem globalizacji.

W miejscu tym chciałbym podziękować kilku osobom za okazaną mi pomoc: Rafałowi Górskiemu, którego wcześniej opublikowane w 2002 roku opracowanie dotyczące architektury, za jego pozwoleniem, wykorzystałem w tej książce, oraz za cenne odpowiedzi które naprowadziły mnie na inne materiały wykorzystane w książce. Chciałbym też podziękować Grażynie Urbańskiej, której pomoc przy zbieraniu materiałów i redakcji tekstu trudno przecenić, jak również Markowi Piekarskiemu za wkład merytoryczny i techniczny, który złożył się na ostateczny kształt tej publikacji. Oczywiście nie bez znaczenia dla Wydania broszury był wysiłek wszystkich moich przyjaciół z poznańskiej Sekcji FA, jednak chciałbym wyrazić podziękowanie za indywidualny Wkład Huberta Frączka, a także Macieja Hojaka jako animatora niezależnego ruchu wydawniczego.

Rozdział 1. Miasto więzienie

Postępująca pauperyzacja miast i rozwój bogatych przedmieści. Przedmieścia nie są alternatywą. Rosnąca segregacja przez strzennai kryminalizacja miasta.

Czy pamiętacie film „Ucieczka z Nowego Jorku” z 1981 roku w reżyserii według scenariusza Johna Carpentera? Jestto futurystyczna wizja świata. Akcja dzieje się w 1997 roku. Przestępczość w Stanach Zjednoczonych szaleje, brakuje więzień, a kryminalistów ciągle przybywa. Rząd wpada więc na pomysł, aby z wyspy Manhattan uczynić najlepiej strzeżone miejsce, gdzie nie byłoby strażników, a zesłańcy rządząliby się według własnych reguł. Manhattan jest więc pilnowany od zewnątrz, a helikoptery sprawdzają jedynie czy nie ma żadnych ucieczek. Ten film to przerysowana wprowadzie, ale jednak udana alegoria współczesnego miejskiego życia.

W 1995 roku w USA liczbę więźniów szacowano na 1.585 tys. W przeliczeniu na 100 tysięcy mieszkańców Stany Zjednoczone plasowały się pod tym względem zaraz za Rosją. Po pięciu latach liczba przetrzymywanych w więzieniach osób wzrosła w USA o pół miliona (do 2.072 tys.!), a współczynnik w przeliczeniu na ilość mieszkańców wzrósł do 732! Stany Zjednoczone wyprzedziły pod tym względem Rosję (676). Na przestrzeni podobnego okresu czasu liczba więźniów w Polsce wzrosła od 61 tys. do 80 tys., przy prawie nie zmienionej liczbie mieszkańców¹. Badania socjologiczne dowodzą, że trwały wzrost bezrobocia (a z takim mamy np. do czynienia w Polsce), a także wzrost nierówności społecznych, prowadzi do szeregu negatywnych zjawisk jak właśnie przestępczość, ale też innych². Mało się o tym mówi, ale kiedy spojrzymy w statystykito stwierdzimy, iż w Polsce w ostatnich 15 latach nie tylko zauważalnie wzrosła liczba popełnianych przestępstw przeciwko mieniu irozbojów, ale także np. samobójstw. Znacząco więcej osób leczysię z alkoholizmu, więcej osób zasięga rad u psychiatry. Miasto niejako ogniskuje wszystkie te negatywne procesy, a z drugiej strony charakteryzuje się tym, iż we względnie bezpośrednim sąsiedztwie żyją zróżnicowane grupy społeczne.

Postępujące zubożenie części mieszkańców miast wpływa na warunki życia ogółu. Bogatsza część obywateli postanawia przesiedlić się na obrzeża, na tereny strzeżone, wyizolowane od biedy i patologii. Dokonujesię selekcja negatywna. W ten sposób na rosnące podziały społeczne, nakłada się segregacja przestrzenna. Przy silnym nacisku kulturowym, promującym konsumpcyjny indywidualizm, zwyczajnie okazuje się, że bogaci nie chcą mieszkać w miejscu sąsiadującym z biednymi: nie chcą z nimi tworzyć wspólnot mieszkaniowych,

¹ Dane za „The Economist: Świat w liczbach” wydanie za 1999 r. i 2003r.

² Patrz: Jeremiy Rifkin, „Koniec pracy”, Wrocław 2001, s. 266 i dalej, oraz Jan Węglewski, „Miasta Ameryki u progu XXI wieku”, s. 20.

narażać się na większą przestępczość, sąsiedztwo pijaków, brud, przemoc, wreszcie zatłoczenie, hałas, itd., tak samo jak nie chcą, aby ich dzieci chodziły do szkoły w rejonie, ale wożą je do wybranych społecznych czy publicznych podstawówek, najczęściej powołując się na troskę o ich bezpieczeństwo. W rzeczywistości tym sposobem pogłębiają oni dystans społeczny i w sensie statystycznym przyczyniają się do wzrostu zagrożenia. Społeczeństwo pęka na dwie części nie tylko w kontekście ekonomicznym i socjologicznym, ale także przestrzennym. Jeden z najwcześniejszych przykładów tego procesu odnotowano już w XVII wieku. Pogarszające się warunki życia w mieście sprawiły, że warstwy zamożniejsze zaczęły się wyprowadzać z dzielnic centralnych Bostonu. Zyskiwały one dzięki temu znacznie większy komfort, a jednocześnie zachowywały przywilej kontaktu z miastem.³

Okazuje się, że w większości polskich aglomeracji miejskich mamy do czynienia z podobną tendencją: spada liczba ludności na terenie miasta (centrum) i dynamicznie wzrasta liczba ludności na przedmieściach. Jak wynika z prognoz Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) zmiany te posiadają charakter trwały. Miasta będą się wyludniać i pauperyzować, a na ich przedmieściach będą powstawać nowe skupiska ludzi - lepiej wykształconych i lepiej zarabiających. Na przykład w 2030 roku Poznań będzie liczył nie więcej niż 485 tys. mieszkańców, tj. o ponad 90 tysięcy mniej niż obecnie. W ostatnich 10 latach z Poznania do przedmieść wyprowadziło się 12,5 tysiąca osób z wyraźnie wyższymi od przeciętnych dochodami i wykształceniem.

Socjolodzy opisując ten proces wskazują na kilka podstawowych czynników, które ich zdaniem przyczyniły się do pogłębienia przestrzennej segregacji - rozwoju przedmieści i powstania gett biedy. W pierwszym rzędzie, jako przyczynę wymienia się rozwój technologiczny. Procesy odpływu ludności z centrów wielkich ośrodków miejskich nie byłyby możliwe bez utraty znaczenia wielu tradycyjnych gałęzi przemysłu, przy jednoczesnym rozwoju i wzroście zatrudnienia w sektorze handlu i usług, cechującym się większą swobodą lokalizacyjną. Nie bez znaczenia jest też upowszechnienie samochodu, telefony czy komputera. Podkreślimy w tym miejscu, iż w ostatnich 15 latach ilość polskich gospodarstw domowych posiadających przykład samochód wzrosła z 35% do 49%, posiadaczy telefonów stacjonarnych z 23% do 77%, komputerów z 6% do 37%. Jednak dobrą te - musimy pamiętać - przestały być wyróżnikami awansu społecznego, a decydujące znaczenie dla sytuacji społecznej w miastach mają postępujące dysproporcje majątkowe. Po transformacji ustrojowej w Polsce w ciągu ostatnich 15 lat pogłębiły się różnice w dochodach poszczególnych części społeczeństwa. Ostatecznie 20% najbogatszych rodzin w Polsce koncentruje ponad 40% dochodów wszystkich gospodarstw domowych. 20% najbiedniejszych rodzin osiąga analogicznie jedynie 8,1% dochodów. 60% społeczeństwa żyje poniżej ustawowego minimum socjalnego. Jak czytamy w raporcie Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) dotyczącego dochodów polskich rodzin (za 2003 r.), mamy do czynienia z kontynuacją obserwowanej od 1997 r. tendencji wzrostu zasięgu ubóstwa. „Jest to szczególnie niepokojące w odniesieniu do zwiększenia się prawdopodobieństwa zagrożenia ubóstwem skrajnym, za granicę którego przyjęto poziom minimum egzystencji. Wzrost ubóstwa w ostatnich

³ Jan Węglewski, „Metropolitalna Ameryka”, Warszawa 1988, s. 25

latach dokonał się przy poprawie przeciętnej sytuacji materialnej ogółu Polaków, generowanej przez wysokie dochody, co świadczyć może o rosnących nierównościach w sytuacji dochodowej niż w Polsce - według różnych szacunków nadal brakuje od 0,7 do poziomów spożycia polskiego społeczeństwa". Sytuację pogarsza fakt, nawet 1,5 miliona mieszkańców stanowi to szczególnie problem w obliczu „wchodzącego w dorosłość” wyżu demograficznego z początku lat 80. Problem jest tym dotkliwszy, że dla całych grup społecznych szanse na zakup swojego lokum z roku na rok maleją, bowiem na kwestie mieszkalne nakłada się zarówno opisany powyżej proces ubożenia całych grup społecznych, jak też wysokie ceny nieruchomości, wywindowane górze w latach 90. W roku 1996 średnioroczna inflacja wynosiła 19,9%, a wzrost cen metra kwadratowego nowo odpowiednio 14,9% i 35,9%; w 1998 11,8% i 21,4%; wreszcie w 1999 wybudowanego mieszkania 27,2%; w 1997 te wskaźniki wyniosły 3% i 15,0%. Efektem są ciągle pogarszające się warunki mieszkaniowe.

W takich okolicznościach wiele osób یرc Jzin dotyka problem bezdomności. „Bezdomność to największa hańba nowoczesnej cywilizacji”, pisze współczesny polski architekt Marcin Mateusz Kołakowski. „Co można myśleć o erze technologii i informacji: gdy Przechodzi się obok człowieka śpiącego na betonie? Miło byłoby sądzić, że to jego niezależny wybór w epoce wolnego rynku. To jednak nieprawda. Ze skali problemu bezdomności wiele osób nie zdaje sobie sprawy.”⁴ Kołakowski podaje, że na świecie żyje ok. 300 mln. bezdomnych, z czego całkiem spora część w krajach wysokorozwiniętych. W Polsce w 1995 roku, było ich ok. 500 tysięcy. Bezdomność, z którą łączy się przewlekły stres, niedożywienie, brak snu, oziębienie, izolacja, prowadzi do tego, że większość nich cierpi na choroby psychosomatyczne i psychiczne. Wśród przyczyn bezdomności w Polsce wymienia się: wzrastające czynsze i brak taniego budownictwa, zamknięcie hoteli robotniczych, bezrobocie, brak odpowiedniej opieki socjalnej, alkoholizm, narkomania, itd.

Tymczasem wąska grupa lepiej sytuowanych buduje swoje odgrodzone osiedla na przedmieściach wielkich aglomeracji. Od początku powstawania współczesnych przedmieść na Zachodzie poddawane one były krytyce przez środowiska intelektualne. Jej ostrze skierowane było głównie przeciwko oferowanemu przez suburbia mogą na dłuższą metę połączyć zalety życia miejskiego i wiejskiego, i stylowi życia. Niechęć brała się z utraty nadziei na to, iż przedmieścia stać się dla wszystkich alternatywą wobec bolączek życia w miejskiej dżungli. Jeden z krytyków, David Riesman, autor bardzo dobrze w Polsce znanej książki „Samotny tłum”, pisał w „The Suburban Sadness” („Smutek przedmieści”), że „pracę tę pisze z perspektywy kogoś, kto kocha miasto i wieś, ale nie kocha przedmieści”. Atakowano przedmieścia, za ich społeczną homogeniczność (pod względem wieku, wykształcenia i dochodów) i próbowano powiązać to z określonymi preferencjami natury politycznej (konserwatyzm). Z jednej strony stwierdzano, że przedmieścia nie spełniły nadziei na odrodzenie się demokracji bezpośredniej, bowiem okazały się zbyt małe, aby samodzielnie w efektywny sposób rozwiązać swoje problemy, a z drugiej twierdzono, że przedmieścia są próbą ucieczki warstw zamożniejszych od uczestnictwa w rozwiązywaniu problemów

⁴ Marcin Mateusz Kołakowski, „Cywilizacja bez domu - cywilizacja bez sensu”, A&B Architektura i Biznes, nr 12/2004

szerszych, wykraczających poza miejscowy kontekst. Więcej: mieszkańcy suburbiów żyją na koszt całej aglomeracji, a zwłaszcza centrum, stając się czymś co w Polsce nazwano „sympialniami”. Przedmieścia zatem istnieją i funkcjonują dzięki infrastrukturalnemu zapleczu miasta, bowiem często na ich terenie brakuje szkół przedszkoli i innego typu instytucji, które z drugiej strony są niezbędne dla właściwego funkcjonowania politycznego wspólnoty. Wreszcie w krytyce przedmieści stwierdza się, że zakładnikami przedmieścistają się często mniej ruchliwe grupy społeczne jak kobiety, młodzież, czy osoby starsze, zwłaszcza tam, gdzie redukcji uległy usługi publiczne (zwłaszcza transport).

Nie brakło również i takich głosów, że rozwój przedmieści nie jest jakąś anomalią, ale naturalną konsekwencją rozwoju tkanki miejskiej w systemie kapitalistycznym, który często przybierał kierunek od centrum ku peryferiom, co było także naturalną konsekwencją gwałtownego rozwoju miast w okresie intensywnej industrializacji. Ich rozwój nastąpił szczególnie dynamicznie po II wojnie światowej. Stwierdzono, iż pod względem ludnościowym charakterystyczny dla rozwoju aglomeracji miejskiej jest - od określonego momentu - bardziej intensywny rozwój przedmieści od dzielnic centralnych. W USA, gdzie proces ten przebiegał ze szczególną wyrazistością „w latach 1950-60 suburbia wzrosły o 48,5%, astrefa centralna tylko o 10,8%(...) W dwóch następnych dziesięcioleciach 1960-1970 i 1970-1980 dane te wynoszą odpowiednio: 26,7% i 6,5% oraz 18,2% i 0,1%”.⁵ Przez pewien okres miasta rozwijały się w ten sposób, iż poszerzały swoje granice administracyjne, co później z wielu przyczyn uległo zahamowaniu. Najczęściej zatem uważa się rozszerzanie obszarów zurbanizowanych za naturalny, kolejny etap historycznego procesu ewolucji miast, podążających za zmianami sposobu życia ich mieszkańców. Jednym ze zwolenników tak rozumianej emigracji na przedmieścia jest znany planista z Los Angeles, Richard Weinstein. Twierdzi on, że struktura zabudowy charakterystyczna dla miast USA (ściślej - Zachodniego Wybrzeża) jest korzystna, bo zapewnia realizację potrzeby społecznej, jaką jest mieszkanie w komfortowym domu wśród zieleni i stanowić będzie kolejny paradygmat urbanizacji, który przyjmie się we wszystkich wysoko rozwiniętych częściach globu.

Podsumowując, można powiedzieć, że powstanie przedmieści jest odpowiedzią na to co Riesman nazywa „konsumpcyjną reorganizacją społeczeństwa” i pogłębieniem się różnic społecznych, z którymi z całą pewnością mamy obecnie do czynienia w Polsce. Pojawienie się dynamicznego rozwoju przedmieści w Polsce jest wynikiem procesów charakterystycznych dla gospodarki kapitalistycznej, której towarzyszą dramatyczne i negatywne zmiany społeczne, z których przestępczość jest wymieniana jako jedna z najważniejszych. Postępująca kryminalizacja społeczeństwa jest najjaskrawszym bowiem przejawem rosnącej segregacji społecznej w zglobalizowanym świecie, gdzie przestrzeń została podzielona, sprywatyzowana i jest strzeżona przez tysiące policjantów oraz ochroniarzy, kamery i systemy monitoringu, rejestracji i Identyfikacji personalnej. W Polsce mamy 200 tysięcy pracowników firm ochroniarskich, dwa razy więcej niż policjantów. Kryminalizacja i bezwzględność jest tym większa, im większe są - jak w Brazylii - dysproporcje społeczne. Martin i

⁵ Jan Węglewski, „Metropolitalna Ameryka”, Warszawa 1988, s. 22

Schumann w „Pułapkach globalizacji” opisują takie „modelowe” podmiejskie osiedla dla bogatych, jakie powstały San Paulo:

„Rajska enklawa otoczona jest wysokimi murami uzbrojonymi w reflektoryszperacze i elektroniczne czujniki rejestrujące każde poruszenie. To idealne refugium dla mieszkańców metropolii obawiających się w centrum przestępców i rebeliantów...”.

W miejscu tym cały czas pracują patrole posiadające wyjątkowe uprawnienia: legitymują wszystkich wjeżdżających na teren, przeszukują samochody, rewidują zatrudnianą w domach służbę czy wynajmowanych przez właścicieli posesji pracowników (np. budowlnych). Wewnątrz murów ochroniarze mogą strzelać do każdego obcego, nawet gdy jest on nieuzbrojony.⁶ Według oficjalnych raportów rządu w Brazylii każdego roku ginie kilka tysięcy bezdomnych, walęsających się dzieci, zastrzelonych celowo przez uzbrojone patrole dorosłych.

Choć nie we wszystkich krajach sytuacja przybiera tak dramatyczny wymiar, to skala problemów segregacji jakie dotknęły przestrzeń miejską jest ogromna i bardzo poważna. Stan ten najlepiej charakteryzuje Bauman pisząc:

„Elity wybrały izolację isą gotowe płacić za nią słono. Reszta społeczeństwa natomiaststwierdza, że jest odcięta kulturalne ipolityczne. Sytuacja ludzi, dla których życie w separacji od i musi ponosić koszta ich nowej izolacji, koszta psychologiczne, społeczności lokalnej nie jest kwestią wyboru i których nie stać na opłacanie bezpiecznej izolacji, przypomina położenie tych, którzy padli ofiarą grodzenia gruntów u progu nowoczesności: zwyczajnie i po prostu, nie pytając ich o zdanie, odgrodzono od miejsc, które jeszcze wczoraj były wspólne; zabroniono im wstępu i odegnano, niepokornym grożąc więzieniem; skazano na szok błąkania się po terenach leżących poza granicami prywatnej własności, oznakowanej za pomocą ostrzegawczych tablic lub nie zwerbalizowanych, lecz nie mniej stanowczych „zakazów wstępu” w postaci rozmaitych znaków,których nie umieli czytać ani dostrzec. Teren miasta staje się polem nieustannej wojny o przestrzeń, która czasami zmienia się w publiczny spektakl w postaci zamieszek w śródmieściu, rytualnych potyczek z policją, bijatyk kibiców piłkarskich; na co dzień jednak walka toczy się pod powierzchnią publicznej (dopuszczonej do publicznej wiadomości) wersji porządku spraw dnia powszedniego w mieście. Pozbawieni władzy i zaniedbani mieszkańcy terenów „odgrodzonych”, obszarów zepchniętych na margines i nieubłagane naruszanych, sami odpowiadają agresją i na granicach swoich zamienianych w getta osiedli próbują umieszczać własne znaki zakazu. (...) Niezależnie od skuteczności tych działań « podstawowy problem polega na tym, że są niedozwolone,a w związku z tym oficjalnie klasyfikuje się je zwykle jako naruszenie porządku

⁶ H. P. Martin, H. Schumann, „Pułapka globalizacji”, Wrocław 2000, s. 205

i prawa, a nie czym są w istocie, jako próby zwrócenia uwagi na terytorialne roszczenia oraz chęć włączenia się w nowągrę o przestrzeń, w którąwszyscy z upodobaniem grają”.⁷

Architektura monopolu mydła i whisky. Bunt miejski jako odpowiedź na planowanie przestrzenne. Ruchy miejskie.

Struktura przestrzenna miasta Jest odzwierciedleniem społecznych różnic, dysproporcji i konfliktów. Wydawałoby się, że zarówno przyczyny, jak też konsekwencje tego stanu rzeczy powinny być w centrum uwagi współczesnych urbanistów i architektów. Niestety tak nie jest. Co więcej, pomimo, że w dziejach tej dziedziny zainteresowanie sprawami społecznymi było raz większe, raz mniejsze, to przeważnie urbanistyka i architektura zachowuje konsekwentnie swoje konformistyczne nastawienie do rzeczywistości. Jeżeli zmiana społeczna była przedmiotem troski architekta czy urbanisty, to najczęściej działo się to za przyzwoleniem władzy. Powód takiego stanu rzeczy jest oczywisty. „Rewolucja w architekturze jest niemożliwa, ponieważ architekt przyjmując zlecenia i chcąc je realizować musi dbać o status quo. Musi dbać o interesy zlecniodawców, czyli o interesy establishmentu i kręgów władzy” – pisał w przedmowie do „Ruchu nowoczesnego w architekturze” Charlesa Jencks’a Henryk Drzewiecki.” Sam Jencks jest nie mniej krytyczny kiedy konkluduje, że architekt tkwi: „w naturze społeczeństwa konsumpcyjnego, dla którego tworzy się architekturę, i w niezaprzeczalnej banalności zadań budowlanych i zleceń. Najzdolniejsi architekci projektują obecnie piękne sklepy z upominkami i boutiques dla wyrafinowanych klientów, budynki biurowe dla monopolu mydła i whisky, zabawki dla bogaczy w Monte Carlo i techniczne cacka na wystawy światowe. Projekty te, prowokujące zarówno pod względem formalnym jak i technicznym, odznaczające się ogromną spójnością, nie mogą jednak w żaden sposób przekroczyć bariery wynikającej z ograniczonych celów społecznych i politycznych, dla których zostały stworzone. Wspaniała forma jeszcze bardziej podkreśla trywialność treści”.⁸ Z podobnym poglądem występował również Umberto Eco stwierdzając, że architektura w większym zakresie ulega urynkowieniu, niż inne dziedziny sztuki. Wreszcie cele oezdomność jest problemem marginalnym. W rzeczywistości jest odwrotnie. Skala potrzeb mieszkaniowych dla najuboższych działania współczesnej architektury krytykują sami architekci jak Massimiliano Fuksas czy Marcin Maciej Kołakowski, który pisał: „W świecie architektury, jeżeli porówna się ilość opracowań dotyczących bezdomności i tych opisujących luksusowe wille, można by pomyśleć, że bezdomność jest problemem marginalnym. W rzeczywistości jest jednak odwrotnie. Skala potrzeb mieszkaniowych dla najuboższych daleko przekracza potrzeby rozwiązań wystawnych pałaców.”⁹

Socjolog Manuel Castells w „Kwestii miejskiej” posuwa się jeszcze dalej użając, że bunt miejski są odpowiedzią na działania represyjne wynikające z planowania przestrzennego

⁷ Zygmunt Bauman, „Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika”, Warszawa 2000, s. 29 30

⁸ Charles Jencks, tamże, s. 506

⁹ Marcin Mateusz Kołakowski, „Cywilizacja bez domu - cywilizacja bez sensu”, A&B Architektura i Biznes, nr 12/2004

podporządkowanego celom gospodarki kapitalistycznej i interesom warstw wyższych¹⁰. Na przykład w przypadku Paryża i Londynu, próby rozpoczęte na przełomie XVIII i XIX wieku-narzucenia jednolitej, z góry określonej, uproszczonej struktury przestrzennej, wynikały z racji politycznych i miały na celu ułatwienie interwencji władzy w tych dzielnicach, gdzie mogły powstać barykady. Współczesne miasto ulega ciągłej odgórnej penetracji i administracyjnej arbitralności, przy czym architektura nowoczesna posunęła się w tym przypadku chyba najdalej.

W 1961 roku Jane Jacobs opublikowała pracę „The death and life of Great American Cities” („Życie i śmierć wielkich miast amerykańskich”), w której krytykuje nowoczesną architekturę funkcjonalną za systematyczne niszczenie miasta, które postrzega jako wspa- niały, bogaty organizm, na który składa się także tkanka różnorodnych ludzkich zachowań. Dla innego socjologa H. Lefebvrea, miasto (miejskość) jest rodzajem anarchistycznej utopii; dzięki swojemu zagęszczeniu, natężeniu interakcji i komunikacji, sprzyja swobodnemu rozkwitowi, niespodziankom, rozrywkom, uspołecznieniu i pragnieniom. Już wcześniej (w pierwszych latach XX wieku) wśród katalońskich anarchistów pojawiła się myśl, że miasto stanowi ostatnią historyczną konkretyzację socjalistycznego ideału utopijnego, pod tym jednak warunkiem, że zbiorowość miejska jest wolna od wszelkich represji. Trwałym wkładem anarchistów w pejzaż Barcelony było zburzenie więzienia i powstanie na jego miejscu parku miejskiego. Choć Manuel Castells nie zgadza się z Lefebvrem w wielu kwestiach (np. w tym, że traktuje państwo jako samoistną formę represyjną), wydaje się doceniać jego krytykę urbanistyki: „w tym nurcie krytycznym idzie o problemy alienacji traktowane jako przeciwstawienie miejskiej spontaniczności urbanistycznemu porządkowi, jako codzienna walka przeciwko państwu...”¹¹

David Osborn i Ted Gaebler, z innego politycznego punktu widzenia, w którym przebija się myśl amerykańskiego libertarianizmu, potwierdzają, że państwo jeszcze nie tak dawno nie miało wszechwładnego wpływu na osadnictwo i mieszkalnictwo. W XIX wieku nadzór- rządowi federalnego, czy nawet stanowego nad osiedlami, opieką zdrowotną i oświatą był w Stanach Zjednoczonych niewielki, a sprawowały go bezpośrednio lokalne społeczności. Z chwilą pojawienia się gospodarki wielko przemysłowej i rozpoczęcia produkcji na wielką skalę zaczęli pojawiać się specjaliści od tego co do tej pory robiły rodziny, osiedla, kościoły i organizacje społeczne. Najpierw Wielki Kryzys (1923) a potem powrót koniunktury w latach 40-tych XX wieku i związana z tym zwiększona mobilność społeczeństwa doprowadziły do rozluźnienia więzi łączących członków geograficznie pojętej społeczności, do oddzie- lenia ludzi starszych od ich dzieci, do oderwani, pracujących od spraw ich osiedli, do coraz większych pustek w kościołach”. Sytuacja uległa zmianie w latach 60-tych, kiedy osiedla dzielnice „zaczęły walczyć przeciwko planom odnowy miast i wymyślonych przez profesjonalnych urbanistów”. Przed rokiem 1970 powstały m.in. ruchy na rzecz praw socjal- nych mniejszości etnicznych ruch konsumencki żądający większej kontroli konsumentów nad produkcją firm prywatnych. Powstał też „ruch lokatorów, domagających się większej

¹⁰ Manuel Castells, „Kwestia miejska”, Warszawa 1982, s. 276

¹¹ Manuel Castells, tamże, s. 508

kontroli nad komunalnym budownictwem mieszkaniowym i ruch mieszkańców dzielnic i osiedli, domagających się większej kontroli społecznej nad rozwojem miast i systemem usług publicznych”. „Ruchy te ożywiało powszechne przekonanie, - piszą David Osborn i Ted Gaebler - że straciliśmy fizycznie kontrolę nad naszym życiem, przekazując je w ręce megainstytucji naszego społeczeństwa: wielkiego biznesu, potężnego rządu i potężnych związków zawodowych.”¹²

Celem miejskich ruchów społecznych jest powstrzymanie ingerencji władzy w życie miasta. Może to być obrona mieszkań przed wyburzeniem i przekwaterowaniem wbrew woli mieszkańców, **naruszaniem wspólnoty przestrzeni miejskiej** poprzez podporządkowanie jej partykularnym interesom korporacji, zniesienie nierówności w dostępie do oferowanych w mieście usług publicznych, itd. W swojej książce „Globalizacja a konflikty lokalne”¹³ przedstawiłem cały szereg, współcześnie funkcjonujących ruchów protestu wywołanych procesami globalizacji gospodarki i podporządkowaniem jej celom polityki planowania przestrzennego. Ruchy miejskie to także samowolne osadnictwo, przejawiające się czasami w formie spontanicznego działania, którego celem jest zapewnienie sobie najlepszych z możliwych warunków mieszkaniowych. To także akcje przeciwko brutalności z jaką planowanie przestrzenne i polityka miejska pozbawia ludzi dachu nad głową i prześladuje bezdomnych, oraz W sposób w jaki dokonuje się komercjalizacja krajobrazu miejskiego, podporządkowując go wymogom kapitału.

¹² David Osborne, Ted Gaebler, „Rządzić inaczej”, Poznań, s. 84 - 85

¹³ Jarosław Urbański, „Globalizacja a konflikty lokalne”, Poznań 2002

Rozdział 2. Ruch samowolnego osadnictwa

Architekci nie są niezbędni. Krach planowania modernistycznego. Każdy powinien móc budować: barriady, pobladores i działkowcy.

Jak twierdzi Henryk Drzewiecki do końca XIX wieku reguły powstawania domów były proste. Budując dom korzystano z usług rzemieślników i szeroko dostępnych wzorników. Oczywiście bogaci wynajmowali specjalistów - architektów, ale niektórzy znawcy przedmiotu twierdzą, że architekt wcale nie musi uczestniczyć w procesie planowania i stawiania budynków. Ingerencja architekta nowoczesnego kończy się często katastrofą. Jak się okazuje są przykłady, gdzie idealnie zwałoby się wykoncypowane osiedla, stworzone według najnowszych kanonów wiedzy urbanistycznej i architektonicznej, były projektami zupełnie nieudanymi, podczas gdy społeczna samowola budowlana kończyła jako pozytywny przykład w podręcznikach dla planistów. Architektura nowoczesna swego dna sięgnęła 15 lipca 1972 roku, kiedy w St. Luis wysadzono w powietrze całe osiedle mieszkaniowe Pruitt-Igoe, zaprojektowane przez amerykańskiego architekta pochodzenia japońskiego Minoru Yamasaki. Osiedle powstało w latach 1952-1955 według najbardziej postępowych ideałów nowoczesnej architektury; było tam mnóstwo słońca, przestrzeni i zieleni, co nie przeszkadzało stać się także siedliskiem przestępczości i patologii społecznych, gdzie ludzie po prostu nie chcieli mieszkać. Problem jednak nie polegał na tym, że popełniono błędy w jakichś obliczeniach, ale w podejściu do socjalnego. planowania przestrzennego - nie uwzględniono szerokiego kontekstu

Spółeczności miast, częstokroć biorą sprawy w swoje ręce i nawiązując do koncepcji zagospodarowywania nieużytków i cywilizacyjnych odpadów, uruchamiają procesy samowolnego osadnictwa. Doświadczenia te zmieniły poglądy na to czym jest mieszkalnictwo. Jencks w „The Language of Post-Modern Architecture” („Język architektury postmodernistycznej”) pisze: „Mieszkalnictwo powinno być małe w skali, jednoczyć mieszane funkcje różnych budynków, rehabilitowane tam, gdzie to możliwe, i bardziej oparte na rozwiniętej sztuce. Może być projektowane przez architekta, ale może być także oparte na wzornikach, dostosowanych do konkretnych sytuacji. W miarę możliwości powinno być kontrolowane przez użytkowników, którzy czasami mogą budować z tego, co jest pod ręką, nawet z odpadków, w pseudoswojskim stylu wynikającym z gustów danej kultury. Mieszkalnictwo oznacza sposób życia inależy uznać rangę tego społeczno-ideologicznego faktu”.¹ Przykładów tego typu budownictwa znajdziemy wiele.

¹ C. Jencks, „Ruch nowoczesny w architekturze”, W-wa 1987, s. 14

Skłoting, południowo-amerykańskie „barriady”, miasta „grzyby” i wszelkie podobnego typu samowole, które najczęściej w założeniach nie mają charakteru stałego, wydają się odzwierciedlać postmodernistyczne wizje. W sensie estetycznym można tu znaleźć miasto paralelę do „Manifestu pleśni...” (1958) wiedeńskiego malarza F. Hunderwassera, który wyraźnie z pozycji anarchistycznych postuluje: „Każdy powinien móc budować, i dopóki nie istnieje wolność budowania, planowa architektura czasów dzisiejszych nie może być uważana za sztukę...”. Dalej F. Hunderwasser atakuje racjonalizm i linię prostą jako symbole biegułości uczciwości. Jako uniwersalne antidotum proponuje „pleśń”, „mikroby i grzyby” i rozmaite „czynniki dezintegrujące”. To radykalnie inne podejście do architektury, niż nowoczesny funkcjonalizm. Sztandarowa postać tego nurtu w architekturze Le Corbusier w krzywiznach (przynajmniej do 1928 roku) upatrywał rodzaju degeneracji i twierdził, że kręte drogi są przyczyną tego, że miasta zamierają, „a klasy rządzące są obalane”.² Możemy w tym przypadku znaleźć związek z poglądami Hakim Beya i jego estymy dla chaosu jako źródła wolności, gdzie tylko Tymczasowe Strefy Autonomiczne, gdy rewolucja nie jest już możliwa, mogą stanowić realny projekt społeczny.”³ Hunderwasser podsumowuje: „Trzeba wreszcie skończyć z tym, by człowiek korzystał ze swego mieszkania jak królik z klatki (...) Materialna nieprzydatność do zamieszkania dzielnic nędzy jest daleko mniejszym złem niż moralna nieprzydatność do zamieszkania architektury funkcjonalnej. W dzielnicach nędzy niszczą tylko ludzkie ciała, gdy w tej architekturze, niestety dla ludzi zaplanowanej, niszczy dusza człowieka. Stąd postulat, by poprawić warunki dzielnic nędzy, to znaczy dziko powstającej architektury, i przyjąć za punkt wyjścia, a odrzucić architekturę funkcjonalną”⁴

Ch. Jencks wymienia przynajmniej kilku architektów i realizacji, które odpowiadają sformułowanym przez Hunderwassera postulatami. „Gromadzili oni wszelkie rodzaje materiałów nadających się do budowy: od kapsli do butelek itłuczonego szkła, siatki drucianej i kamyków, a używali ich podobnie, jak malarz abstrakcyjny używa farby, jako otwartych środków ekspresji, mających naturalną moc i prawa.”⁵ Tylko czy to była architektura samowoli? Ten typ realizacji, w kontekście architektury, ma sens, jeżeli, jak postulowali sytuacjoniści, ujmijemy go w aspekcie kolektywnego tworzenia, społecznej partycypacji, „sztuki dialogu”. Jak zauważa Jencks, wołanie sytuacjonistów o populistyczną, spontaniczną twórczość, nawiązuje do anarchistycznych manifestów lat dwudziestych XX wieku. Lecz sytuacjoniści domagali się również reorganizacji produkcji na bazie wolnych i równych stowarzyszeń producentów i sprawiedliwego podziału dóbr, w tym zapewnienia biedocie dachu nad głową.

Z jednej zatem strony mamy podejście podobne do stanowiska J. Jacobs, że slumsy mogą stanowić oparcie dla ożywienia i rekonstrukcji społecznej środowiska mieszkalnego. Takie wnioski wysuwa Jacobs analizując sytuację w dzielnicy biedoty North End w Bostonie,

² Charles Jencks, „Le Corbusier tragizm współczesnej architektury”, Warszawa 1982, s. 74

³ Hakim Bey, „Poetycki terroryzm”, Kraków 2003.

⁴ Przemysław Trzeciak, „Historia, psychika, architektura”, Warszawa 1988, s. 223

⁵ Charles Jencks, „Ruch nowoczesny w architekturze”, Warszawa 1987, s. 73 74

którą udało się w dziesięć lat dostosować do potrzeb mieszkańców. A z drugiej podejście Hakim Beya, który stwierdza:

„Negatywną odmową wyrażoną przeciwko Domowi jest „bezdomność”, którą większość ludzi nie życząc sobie, by ich przymuszano do jakiejś nomanologii uważa za formę wiktymizacji. A jednak „bezdomność” może być w pewnym sensie cnotą, przygodą, czego dowodem jest chociażby masowy, międzynarodowy ruch skłotersów, czyli naszych współczesnych trampów”⁶.

Część architektów zdawała się reprezentować podobne stanowisko projektując np. „worek do zamieszkania” (Cushicle), który miał „symbolizować radosną ucieczkę od wszystkiego, co do tej pory było domem”⁷.

Bezdomność, „problem mieszkaniowy” - dziś w tym zakresie, jesteśmy bogatsi o wiele doświadczeń. Odgórne próby trwałego rozwiązania tego problemu, jak się okazało z biegiem historii, spełzły na manowcach. Bilans starań państwa i modernistycznej architektury - w tym zakresie, wydaje się być ujemny. Kryzys mieszkaniowy jest wszech obecny, zatem pod każdą szerokością geograficzną znajdziemy przykłady samowolnego osadnictwa. Po II wojnie światowej ruch ten przybrał na sile. Architektoniczny nonkonformizm okazał się oparciem dla żywiołowego tworzenia własnych domów. Przykłady tego typu budownictwa można znaleźć w Stanach Zjednoczonych, gdzie nazywano je architekturą „łagodną” „marginesową”, „naiwną”, bądź „dziką”. Mówiło się w ich kontekście o powrocie do tradycji pierwszych osadników. Inni dostrzegali w tym samym zjawisku przedłużenie filozofii Henry Davida Thoreau który również radził każdemu tworzenie własnej architektury. Dla formowania swych siedzib używano kopuł geodezyjnych (domy ekologiczne w Drop City) drewnianych elementów odpadowych stoczni okrętowych i fragmentów starych łodzi, malowanych znalezionymi puszkami farby; pianki poliuretanowej natryskiwanej przy pomocy kompresora na siatkę zbrojeniową (Tao Design Group w Teksasie); beczek, butelek, spawanych karoserii samochodowych, barek. Zdarzały się starannie wykończone domy w koronach starych drzew i domy na kółkach. Te ostatnie przyjmowały postać drewnianej nadbudowy na platformie ciężarówka, która zyskiwała werandę, taras, tradycyjną formę okien z okiennicami, schodki i przykrytych gontem. We Francji powstawały „bidonville” ze spłaszczonych kanistrów benzynowych (bidon = kanister), które świetnie posłużyły jako materiał budowlany. W Polsce tysiące ludzi osiedlało się na działkach ogrodowych tworząc „altanowe osiedla”. Jednak najbardziej imponujące przykłady samowolnego osadnictwa odnajdziemy w Ameryce Południowej: Peru, Chile, Kolumbii, Wenezueli, Brazylii, itd. W Peru w latach 60. żyło w samowolnie wybudowanych osiedlach 700 tys. mieszkańców, to jest ok. 1/15 ludności tego kraju. Ch. Jencks: „Początkujący jest sposób powstawania barriady. Przednia straż, złożona z planistów, wyznacza granice ulic i parcel. Wczesnym rankiem około tysiąca osadników przybywa ciężarówkami, autobusami i taksówkami, w

⁶ Hakim Bey, „Poetycki terroryzm”, Kraków 2003, s. 141

⁷ Marcin Mateusz Kołakowski, „Cywilizacja bez domu - cywilizacja bez sensu”, A&B Architektura i Biznes, nr 12/2004

towarzystwie prawników, którzy wybrali odpowiednie lokalizacje, i kobiety zwanej „minister obrony”, która jest dobrą maszynistką i dobrze odpiera ataki policji (ta z kolei przybywa na miejsce wydarzeń około dziesiątej rano). W porze obiadowej, kiedy policji uda się już przegrać walkę, wyrasta małe miasto budek z matz wyznaczonym zasięgiem rozbudowy, strefami kościołów, klinik i innych usług. Potem rozpoczyna się dwustopniowy proces, w którym budowane są bardziej trwałe siedziby i wprowadza się demokratyczną administrację w kraju, w którym lokalna demokracja zanikła przed sześćdziesięciu laty. Poza tymi korzyściami politycznymi barriada wytwarza także bardzo silne poczucie wspólnoty oparte na samopomocy i powszechnej inicjatywie. Kiedy każdy wznosi i niszczy własny dom zależnie od potrzeb i życzeń, i kiedy organizowanie usług musi być wynikiem powszechnej inicjatywy, rozwija się rodzaj rozwija się rodzaj braterskich uczuć, przepowiedzianych w doktrynie mutualistów”. Znajdujemy tu bezpośrednie odniesienie do anarchistycznych koncepcji J.P. Proudhona i wzajemności usług jako zasady organizacyjnej w społeczeństwie zurbanizowanym. Pojęcie to zostało zapożyczane w nauk biologicznych, gdzie oznacza rodzaj symbiozy. Niektórzy upatrują w koncepcji P. Kropotkina dotyczącej pomocy wzajemnej, kontynuacji czy rozwinięcia, inspirowanej badaniami przyrodniczymi, koncepcji mutualizmu. Autor „Ruchu nowoczesnego w architekturze” pisze dalej: „Barriady okazały się tak udane, że były opisywane w czasopismach architektonicznych; czołowych europejskich architektów, jak Aldo van Eyck i James Stirling, proszono o ich projektowanie, a rząd peruwiański zaniechał prześladowania i nawet przemianował je na 'młode miasta’”⁸

M. Castells w swojej książce⁹ przybliżył nam chilijski ruch „pobladores” stworzony przez bezdomnych i „dzikich” lokatorów, którzy bezprawnie zajmowali tereny miejskie i stawiali na nich swoje domy, tworząc nielegalne osiedla mieszkaniowe. „Tradycja” samowolnego budownictwa w Chile była długa i wynikała z fatalnej sytuacji mieszkaniowej. Jak podaje Castells, istniał wówczas w Chile potężny niezaspokojony deficyt mieszkaniowy wynoszący w 1960 roku 490 tys. mieszkań, a w 1970-585 tys., przy liczbie ludności 9,3 mln. Na długo przed ruchem „pobladores” w Chile powstały osiedla „grzyby” („callampa”) przyjmujące formę nietrwałej, altanowej zabudowy, wykorzystującej odpadki jako materiały budowlane. „Callampa” powstawały na bezpiecznych lub państwowych gruntach np. w dolinach rzek, wysypiskach śmieci, terenach przeznaczonych na parcelację. W 1960 roku w osiedlach tych mieszkało ponad 16 tys. chilijskich rodzin (czyli powiedzmy ok. 80 tys. ludzi). Byli to głównie bezrobotni. 39% mieszkańców korzystało z ubezpieczeń społecznych, a 43% posiadających stałą pracę uzyskiwało płace niższe od minimalnej. Blisko 30% osób powyżej 15 roku życia było pozbawionych jakiegokolwiek wykształcenia.¹⁰

„Pobladores” rozpoczęli swoje działania na przełomie lat 60 i 70. Pierwsza fala zajmowania terenów w 1969 roku napotkała stanowczy opór ze strony ówczesnych władz. 9 marca 1969 roku w Puerto Montt policja używając broni palnej zmasakrowała kilkadziesiąt rodzin, które zakładały obozowisko. Następnie przy pierwszej akcji zajmowania terenów w Santiago

⁸ Charles Jencks, „Ruch nowoczesny w architekturze”, Warszawa 1987, s. 104-106

⁹ Manuel Castells, „Kwestia miejska”, Warszawa 1982, s. 374-398

¹⁰ Michał Chmara, „Klasy społeczne i partie polityczne Republiki Chile 1964-1973”, Warszawa 1978, s. 58-59

(stolicy kraju) w styczniu 1970 roku doszło do ostrych starć ze specjalnymi oddziałami policji, a działaczami radykalnej MIR (Ruch Lewicy Rewolucyjnej - „mieszanka” z przewagą trockistów). Później na skutek nacisków opinii publicznej, represje zelżały. Trzeba stwierdzić, iż każda akcja, a zarazem każde „obozowisko” miało odrębny charakter w zależności od środowiska, które je wspierało. Byli to najczęściej socjaliści, komuniści, ludowi chrześcijańscy demokraci i działacze radykalnej lewicy w rodzaju właśnie MIR, z którym bezpośrednio był związany z kolei Ruch Rewolucyjnych Osiedleńców (MPR).

Według autora „Kwestii miejskiej” ogólną skalę ruchu samowolnego osadnictwa trudno ocenić, ale szacuje się, że w kwietniu 1971 roku w samym tylko Santiago w osiedlach „pobladores” mieszkało 275 tys. osób, czyli 10% populacji całej aglomeracji. Jak wyglądała samoorganizacja społeczna tych osiedli? W ramach swoich badań Castells ustalił, że obozowiska mogły, i stały się, źródłem społecznych innowacji. Według niego najważniejsze zmiany i na nich się koncentruje, dotyczyły zagadnień bezpieczeństwa publicznego, dyscypliny i wymiaru sprawiedliwości. Z powodów ciągłego zagrożenia interwencją policji „pobladores” ze swojego grona wybierali „ludową milicję” lub „komitety nadzoru”. Po dojściu do władzy Bloku Jedności Ludowej Salvadora Allende we wrześniu 1970 roku, w niektórych osiedlach postanowiono rozwiązać te oddziały, ponieważ sądzono, Castells nie pisze na temat nacisków ze strony władzy, że kontrolowana przez ludowy rząd policja, będzie lepiej wykonywać te funkcje. Okazało się to jednak nieprawdą. Siły policyjne nie radziły sobie z przestępczością w osiedlach i przejawiały wrogi stosunek do bezdomnych. W związku z tym w „obozach” powoływano autonomiczne organizacje zapewniające bezpieczeństwo. Rzadko się zdarzało, aby były one wykorzystywane w sposób niewłaściwy, zwłaszcza kiedy podlegały ścisłej kontroli ze strony „pobladores”. W niektórych osiedlach powoływano także coś na wzór sądów, które oprócz funkcji rozjemczych, czasami wydawały wyroki; najczęściej karano wydaleniem z „obozowiska”. W osiedlach dbano także o przestrzeganie pewnych wspólnie ustalonych zasad, jak niezakłócanie porządku w trakcie trwania zebrań, czy też zakazu spożywania alkoholu. Oprócz tego „pobladores” starali się walczyć z problemem bezrobocia, które ich dotykało w znacznym stopniu. Tworzono komitety bezrobotnych, starano się organizować prace na rzecz osiedla, czy też powoływano społeczne przedsiębiorstwa budowlane (zwane „brygadami robotniczymi”). Dalej starano się organizować służbę zdrowia, szkoły, czy prowadzić działalność kulturalną. Castells podkreśla, że osiedla „pobladores” miały typowo lokalny charakter, w tym sensie, że np. nie były one zazwyczaj zaangażowane w bezpośrednie walki na terenie zakładów pracy, a raczej inicjowały działania polegające na organizacji usług o charakterze społecznym i publicznym, czym z definicji zajmuje się samorząd lokalny.

Masowe ruch samowolnego osadnictwa w Ameryce Łacińskiej oczywiście miały miejsce także w latach 80. i 90. XX wieku. Na przykład w 1989 roku deficyt mieszkaniowy w Brazylii wynosił 10 milionów mieszkań. Dotykał on nie tylko ludności miast, ale też ludności terenów wiejskich. Jednym z największych brazylijskich fenomenów ostatnich lat jest ruch „Chłopi Bez Ziemi”, który w latach 1990-1996 organizował 518 akcji okupacji terenów

pod nielegalne zasiedlenia, a 1997 roku w stolicy kraju zorganizował manifestację w której wzięło udział 25 tysięcy osób¹¹

W Poznaniu w kilku miejscach istnieją wpół legalne lub nielegalne osiedla mieszkaniowe wybudowane na terenach ogródków działkowych. Budynki (czy częściej małe domy) powstają sposobem gospodarskim, często bez wymaganych zezwoleń i z pominięciem przepisów prawa budowlanego. Ta samowola budowlana pozwala setkom rodzin zapewnić sobie przyzwoite warunki lokalowe. Powstawanie „osiedli altanowych” jest długotrwałym procesem. Jedno z nich położone jest na przykład na poznańskim Raszynie, inne na Miłostowie. Na Raszynie stanowi ono zwarty zespół budynków o bardzo zróżnicowanym charakterze i urodzie. Wtopione w zielenie domy, przypominają coś na wzór letniskowych domków w zwartym miejskim szyku. Niektóre z nich z biegiem czasu rozbudowywane i dostosowane do bieżących potrzeb i możliwości coraz bardziej odpowiadają potocznym wyobrażeniom domu mieszkalnego. Długotrwały proces powstawania tego typu osiedli powoduje także, że dziś charakteryzują się one znacznym zróżnicowaniem społecznym pod względem wieku czy dochodów.

Trochę inaczej potoczyła się historia enklawy działkowej przy ulicy Sarmackiej, gdzie mieszka ok. 150 rodzin (500 osób). Historia domków przy ulicy Sarmackiej datuje się od roku 1932 kiedy ówczesny właściciel terenu Oswald Frank przeznaczył go dla bezdomnych i bezrobotnych poznaniaków. Umowa dzierżawy na grunt (działkę) podpisana została z lokatorami powstających tam domków do końca 1964 roku. W międzyczasie doszło do zmiany systemu politycznego i w wyniku wielu OPperturbacji cały teren trafił w ręce miasta. Obecni mieszkańcy Sarmackiej chcieliby korzystając z prawa pierwokupu nabyć grunt na którym mieszkają czasami od kilku pokoleń. Władze jednak próbują udowodnić, że w absolutnej większości wypadków nie mogą się oni domagać prawa własności do działek, na których postawili lub zmodernizowali istniejące wcześniej domy. Jedną z koncepcji szczegółowego planu zagospodarowania przestrzennego zakłada wyburzenie wszystkich budynków i przeznaczenie tego miejsca poci intensywną zabudowę mieszkaniową. Zniknąć miałyby nawet szkoła.. (im. Oswalda Franka) i przedszkole. Decydenci utrzymują że większość z mieszkańców nie ma prawa do zajmowanych na działkach lokali, po drugie budynki powstały nielegalnie i nie spełniają norm budowlanych i urbanistycznych. Miejsce o określonej historii i tożsamości musiałyby - wedle tego planu - przestać istnieć. Takie postawienie sprawy oczywiście wywołało protest mieszkańców. Nadziei dzisiejszy zapadła jednak decyzja administracyjna, otwierająca. możliwość legalizacji osiedla na Sarmackiej.

Różnice pomiędzy „barriadami” i ruchem „pobladores” a francuskimi „bidonville” i polskimi „altanowymi osiedlami” polega przede wszystkim na tym, iż w pierwszym przypadku akcje miały masowy, szybki i zorganizowany (logistyczne, ale też politycznie) przebieg, podczas gdy w drugim był to raczej proces rozciągnięty w czasie, a działania podejmowały pojedyncze osoby lub niewielkie, kompletnie apolityczne, grupy. To co je łączy to nielegalny charakter.

Taktyka skłotingu. Mieszkania Zamiast Więzień. Centra socjalne.

¹¹ Anders Corr, „No Trespassing!”, South End Press 2000

Z angielskiego „squatter” to nielegalny osadnik. Powszechnie ruch ten kojarzony jest z krajami wysokorozwiniętymi i stwierdza się, że nie mógłby się on ujawnić, gdyby nie natura kapitalistycznego społeczeństwa i jego „nadkonsumpcja”. Dlatego niektórzy zaliczają ruch skłoterski do tzw. „nowych ruchów społecznych”, które mają się kierować inną od motywowanej względami materialnymi logiką działań i raczej widzą w nim zjawisko o naturze kulturowej niż społecznoekonomicznej. Skłotersi wykorzystując i zagospodarowując odpady, przesuwają granice przydatności przedmiotów do użycia i odzyskują, czego pozbawiają się klasy wyższe. Na przykład tzw. „freegans” (odmiana ruchu skłoterskiego) odżywiają się wyłącznie jedzeniem zdobytym za darmo, uzyskanym od rolników, sprzedawców na targu, czy ze sklepów, barów i restauracji. Chętnie penetrują śmietniki. Spotykamy tu zazwyczaj osoby związane z grupami anarchistycznymi, radykalnych ekologów czy przedstawicieli tzw. skrajnej lewicy. Skłotingowi towarzyszy z jednej strony sprzeciw wobec mechanizmów rynkowo-liberalnych, a z drugiej strony akceptacja wspólnotowego modelu życia zbiorowego, opartego na samorządzie i aktywnej współodpowiedzialności za los wszystkich członków grupy.¹² Oznacza zatem pewien styl życia.

Inaczej problem stawia Andres Corr, autor książki „No Trespassing” („Zakaz wstępu!”). Widzi on ruch skłoterski w Europie i USA jako część ogólnoświatowego ruchu samowolnego osadnictwa i przypisuje mu takie samo znaczenie i intencje. W takim ujęciu skłoting jest wg Corra zjawiskiem masowym. Co dziesiąty mieszkaniec globu zajmuje swoje lokum bezprawnie. Nielegalni osadnicy stanowią 90% mieszkańców Addis Abeby, 33% Nairobi, 50% Monrovi, 29% Seulu, 67% Kalkuty, 45% Bombaju, 60% Ankary, 35% Manili, 46% Meksyku, 40% Limy, i 42% Caracas. Skłoting dla Corra jest formą taktyki, która podobnie jak strajki czynszowe, pozwala wymusić odpowiednie reformy w sferze mieszkalnictwa. Za nienaturalną uważa bowiem sytuację, kiedy wg danych ONZ za 1996 rok ponad miliard ludzi żyje w warunkach mieszkaniowych urągających wszelkim normom, bez dostępu do czystej wody i sanitariatów. Ale, jak dodaje, to nie jest problem tylko krajów trzeciego świata. Na przykład w San Francisco pomiędzy 1992 a 1998 rokiem istniało ponad 6,5 tysiąca niezamieszkałych budynków. Natomiast liczbę bezdomnych w 1994 roku szacowano na 14 tysięcy, a przez 1996 rok każdego miesiąca przybywało 300 osób. W tym samym roku 150 z nich zmarło na ulicy. Jeszcze dalej idzie Nick Wates pisząc w „Introducing Squatting”, („Wprowadzenie do skłotingu”): „Problem skłotingu nie ogranicza się tylko do zagadnień związanych z mieszkalnictwem. Żądania dzikich lokatorów są wyzwaniem dla planistów. Zamieszkiwanie na dziko w opuszczonych domach dowiodło swojej skuteczności jako sposób zapobiegania spekulacji gruntami i biurokratycznej niekompetencji, ograniczenia wydatków na cele publiczne i planistycznej megalomani. Poprzez zajmowanie obszarów zaplanowanych do rozbiórki, dzicy lokatorzy często wnosili nowe życie i środki do zniechęconych społeczności lokalnych, umożliwiając im skuteczne przeciwstawienie się radom miejskim i developerom. Poprzez determinację, w obronie budynków, potencjalnie ciągle użytecznych, dzicy lokatorzy zmuszali właścicieli do zmiany planów, związanych z rozbiórką, używając jako broni rozgłosu”.²⁷ Mark Girson zwraca uwagę, na podobieństwa pomiędzy ruchem skłoterskim i

¹² Piotr Żuk, „Społeczeństwo w działaniu. Ekolodzy, feministki skłotersi”, Warszawa 2001, s. 31 -133

ruchem samowoli osadniczej w innych regionach świata. Pisze, że przede wszystkim w obu przypadkach mamy do czynienia z akcją bezpośrednią podejmowaną przez ludzi biednych i w obu przypadkach jest to postrzegane jako zagrożenie dla klas posiadających¹³.

Pierwsze skłoty powstały w Europie Zachodniej jednocześnie w Holandii, Anglii, Danii, Niemczech, we Włoszech. W Stanach Zjednoczonych najbardziej spektakularny był przypadek zaskłotowania całej dzielnicy HaightAshbury w San Francisco. Skłoty WHaightAshbury sprawnie funkcjonowały przez rok (1968), po czym w większości upadły. Trudno ocenić skalę tego ruchu w Europie, jednak z danych dotyczących okresu największej aktywności skłotersów (lata 70. i 80.) wynika, że dotyczył on setek tysięcy mieszkańców europejskich miast. Wielu uważa, że największym i najtrwalszym skłotem okazała się Chrystiania (dzielnica Kopenhagi) i berliński Kreuzberg. W przypadku Chrystianii skłoty powstawały w zdemilitaryzowanej bazie wojskowej. Wielokrotnie próbowano je zlikwidować używając metod policyjnych i stosując, nierzadko brutalne, interwencje. W styczniu 1916 roku na Chrystianii mieszkało około 1000 osób, choć latem ta liczba się podwaja. Sądzi się też, że Chrystiania odniosła największy sukces. W latach 1973-1976 obszar ten przekształcono w „wolne miasto” i Chrystiania została uznana za eksperyment społeczny.¹⁴ Funkcjonuje on de facto już od ponad 30 lat.

Ruch skłoterski bardzo dynamicznie rozwijał się też w Wielkiej Brytanii. Wiąże się to z dość liberalnym prawem i powszechnym wykorzystywaniem przez skłotersów precedensu prawnego; kiedy dzicy lokatorzy zajmowali budynek i interweniowała policja, to skłotersi zwykle powoływali się na prawo... krzyżowców, zabraniające wkraczania na obcy teren przemocą.^{3°} Nick Wates szacuje, że w Wielkiej Brytanii między 1968 a 1980 średnio każdego roku egzystowało od 30 do 50 tys. skłotersów. W 1987 roku w Londynie żyło około 31 tys. skłotersów. W Irlandii Północnej w styczniu 1977 roku liczbę skłotów oceniano na 6168 i miało je zamieszkiwać ok. 30 tys. lokatorów.

Spore rozmiary osiągnął skłoting w Niemczech i to pomimo dość restrykcyjnego prawa i działań władz. Na przykład w Zachodnim Berlinie w 1982 było ok. 5 tys. skłotersów okupujących 180 budynków, do których - po 1989 roku - dołączyło 4 tys. skłotersów w Berlinie Wschodnim.¹⁵ Ciekawym zjawiskiem są powstałe na początku lat 80-tych XX w. w Niemczech ruchome skłoty, tzw. „Wagenburgen”; sęto wspólnoty ludzi mieszkających w wozach cyrkowych łączonych w tabor.

Skłoting dobrze rozwija się i funkcjonuje do dziś w Holandii, gdzie z czasem wprowadzono odpowiednie regulacje prawne i usankcjonowano ruch. Najliczniejszym pod względem liczby skłotów miastem jest Amsterdam. Zgodnie z oficjalnymi danymi wiosną 1980 roku w mieście tym istniało około 6 do 7 tysięcy samowolnie zajętych domów. W pozostałej części Holandii istniała podobna ilość skłotów. W razie interwencji policji ruch skłoterski w Holandii posiadał też spore możliwości „mobilizacyjne”. W samym Amsterdamie działało kilkanaście skłohrskich centrów informacji; wydawano comiesięczny biuletyn. Kiedy np.

¹³ Mark Girson, „Everybody's doing it”, w: „Squatting the Real Story”, 1980 <http://www.squat.freeerve.co.uk>

¹⁴ Mark Girson, tamże,

¹⁵ Anders Corr, „No Trespassing!”, South End Press 2000

w 1979 roku próbowano zlikwidować jeden ze skłotów, w jego obronie 29 lutego 1980 r. – demonstrowało 12 tysięcy osób.

W Hiszpanii oficjalny raport podawał, że w październiku 1977 roku skłotersi zajmowali 2158 mieszkań. W Portugalii po obaleniu 24 kwietnia 1974 roku dyktatury w samej Lizbonie i okolicach zajęto ok. 5 tys. domów. W 1976 roku liczbę skłotersów w tym kraju szacowano na 80 tys. We Włoszech wg niektórych szacunków okupowano ok. 70 tys. mieszkań. W czerwcu 1971 roku, w Mediolanie, demonstrowało 30 tys. osób popierających dzikich lokatorów.

W latach 90. powstał w Stanach Zjednoczonych ruch Homes Not Jails (HNJ – Mieszkania Zamiast Więzień) założony przez aktywistów Foods Not Bombs (Jedzenie Zamiast Bomb), w tym przez znanego w Polsce Keith McHenry'ego, oraz przez działaczy San Francisco Tenants Union (Unia Lokatorów w San Francisco). Jednak jego genezy należy doszukiwać się w okresie recesji lat 80., kiedy wiele osób, w wyniku nowej polityki rządu USA, znalazło się na ulicy. Wówczas setki organizacji bezdomnych z całych Stanów Zjednoczonych zaczęły stosować taktykę skłotingu, jako formę zapewnienia im dachu nad głową. Z jednej strony FNB miało doświadczenie w akcji bezpośredniej i „potyczkach” z policją, z drugiej Unia Lokatorów miała swoje biuro, dane dotyczące pustostanów i prawników. Pierwszą akcję przeprowadzono wspólnie pod szyldem HNJ w San Francisco w 1992 roku przy ulicy Golden Gate 90. Od tego momentu dokonano setki zajęć budynków. Przez lata 90. grupy HNJ powstały w ponad 40 miastach USA. Skłot na Golden Gate przetrwał ledwie dwa miesiące i w wyniku interwencji policji został zlikwidowany, chociaż budynek jeszcze wiele lat stał potem pusty.

W Polsce pierwsze skłoty pojawiły się w latach 90., zatem również wszelkiego rodzaju analizy tego fenomenu powstały zupełnie niedawno. Opracowania dotyczące naszego ruchu skłoterskiego popełnili m.in. Katarzyna Regucka („Squatting w Polsce. Przyczyny i rozmiary zjawiska”¹⁶), Waldemar Bulira („Squatting jako nowy typ kultury alternatywnej”¹⁷), Anna Daciów („Squat Rozbrat. Poznańskie centrum kultury alternatywnej”¹⁸). Próbowali w nich przedstawić ruch raczej w kategoriach kulturowych. Obecnie funkcjonuje u nas kilkanaście skłotów. W wielu miejscach, jak np. na poznańskim Rozbracie, najstarszym skłocie w Polsce istniejącym już ponad 10 lat, prowadzone są kuchnie Food Not Bombs. Z reguły tak w Polsce jak i zagranicą skłot nie jest jedynie miejscem do zamieszkania, ale także centrum kultury alternatywnej, z nielegalnymi piwialniami, salami koncertowymi, galeriami, biurami różnych organizacji i ruchów, salami wykładowymi, bibliotekami. Nazwa „centro socjale”, jak się teraz często określa takie miejsca, ma podkreślić szerszy kontekst prowadzonej

¹⁶ Katarzyna Regucka, „Squatting w Polsce. Przyczyny i rozmiar zjawiska”, maszynopis pracy magisterskiej, Uniwersytet Jagielloński, Wydział Filozoficzny, Kraków 1998.

¹⁷ Waldemar Bulira, „Squatting jako nowy typ kultury alternatywnej”, maszynopis pracy magisterskiej, UMCS, Lublin 2002.

¹⁸ Anna Daciów, „Squat Rozbrat. Poznańskie centrum kultury alternatywnej”, maszynopis pracy magisterskiej, Uniwersytet Warszawski, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej, W-wa 2005.

działalności. Centrum socjalne może, ale nie musi być zamieszkane przez skłotersów, jest natomiast oparciem dla ruchu społecznego z którego aktywność rozlewa się na całe miasto. Ruch skłoterski jest zatem w sensie urbanistycznym rodzajem rewitalizacji nie tylko z uwagi na fakt przywrócenia miastu opuszczonych domostw, zainicjowania w wielu dzielnicach autentycznych samorządów (czasami nawet oficjalnych), ale także z powodu inicjowania działalności kulturalnej; odbywającej się bez mecenatu państwa i niejednokrotnie wbrew jego interesom.

Polityka renowacji czy represji. Ruch przeciw eksmisjom. Strajk czynszowy. Mieszkanie jako prawo, a nie przywilej.

Doświadczenia Jane Jacobs dotyczące dzielnicy biedoty North End w Bostonie podsunęły wielu urbanistom myśl, iż obumierająca tkanka miejska może zostać poddana rewitalizacji. Jednakże, jak się okazało, renowacja dzielnic może być podporządkowana interesowi różnych grup społecznych, zarówno biednej większości, jak też bogatej mniejszości. W tym drugim przypadku niestety częściej. Manuel Castells wykazywał, że renowacja miast amerykańskich przeprowadzona w latach 50. i 60. XX wieku, zgodnie z opinią rządu USA, „pogłębiła segregację, zamiast ją zmniejszyć”¹⁹. Jakże są tego mechanizmy? Otóż przede wszystkim wyburzaniu czy renowacji starej substancji mieszkaniowej musiały towarzyszyć rozwój taniego budownictwa społecznego. Często się jednak dzieje tak, że rozbiórkom i modernizacjom towarzyszą wysiedlenia ludności, albo do mieszkań o jeszcze niższym standardzie, albo do lokali gdzie czynsz jest wyższy od dotychczasowego. Więcej: renowacja w miastach amerykańskich prowadziła do tego, że spora część biednych rodzin, zmuszona została do zamieszkania w warunkach gorszych i dodatkowo płacić musiała jeszcze wyższy czynsz, a wiadomo, jak pisze Castells, „że osoby wykwaterowane z powodu wyburzeń w ramach renowacji miast należą właśnie do warstwy najbardziej upośledzonej na rynku mieszkaniowym zarówno pod względem dochodów i wykształcenia, jak i przynależności etnicznej”²⁰. Dalej autor „Kwestii miejskiej” stwierdza, że renowacje nie są skutecznym środkiem walki z nędzą i prowadzą często jedynie do przemieszczania biedy w przestrzeni miasta, nie rozwiązując istoty problemu. Warunki mieszkaniowe warstw niższych nawet się pogarszają. Castells dowodzi także, że renowacje mogą być formą polityki rasistowskiej i represji. W Stanach Zjednoczonych dzielnice biedoty murzyńskiej statystycznie były poddawane częstszym przesiedleniom i modernizacjom, niż dzielnice białej biedoty. Program renowacji zatem wykorzystano do likwidacji czarnych slumsów, aby na ich miejsce postawić osiedla dla białych bogatych. Analogicznie we Francji, twierdzi Castells, dzielnice gdzie słabe są tradycje głosowania na większość parlamentarną, były częściej poddawane renowacji, niż inne. Skłania to Castellsa do wyrażenia opinii, że w zakresie renowacji intencją działań władz jest raczej zmiana układu społecznego danej przestrzeni, niż zły stan mieszkań.²¹ Z tych powodów renowacje i przesiedlenia wywołują niezadowo-

¹⁹ Manuel Castells, „Kwestia miejska”, Warszawa 1982, s. 310

²⁰ Manuel Castells, tamże, s. 308

²¹ Manuel Castells, tamże, s. 331

lenie społeczne i wybuchają bunt miejskie. Kilka z takich akcji (Paryż, Montreal) opisuje Castells w swojej książce.

Według Castellsa w paryskiej dzielnicy Cité du Peuple, stan substancji mieszkaniowej nie był wcale gorszy od przeciętnej w Paryżu w owym czasie (przełom lat 60. i 70. XX wieku), choć być może było bardziej odczuwalne przeludnienie. Z drugiej strony dzielnica ta była, dzięki swemu położeniu, korzystnym miejscem dla lokalizacji luksusowych budynków mieszkalnych, co spowodowało chęć przeprowadzenia odpowiednich zmian planistycznych. Jak stwierdza autor "Kwestii miejskiej" jeżeli ludność tej dzielnicy zmobilizowała się do działania, to powodem nie były złe warunki mieszkaniowe, ale program renowacji, zainicjowany przez władze lokalne, stwarzający nieustanne zagrożenie eksmisjami. Kiedy wybuchł konflikt społeczny, pierwsze żądanie mieszkańców dotyczyło zapewnienia taniego budownictwa mieszkaniowego w obrębie Cité du Peuple, oraz tego, żeby przekwaterowania odbywały się stopniowo, w miarę toczących się prac. Odbywały się regularne zebrania, zbierano podpisy pod odpowiednimi petycjami, stosowano metody nieposłuszeństwa obywatelskiego. Na przykład jedna ze starszych mieszkanek przez rok „mieszkała” w ruinach swojego domu, aż nie otrzymała odpowiedniego, nowego lokum. W razie podejmowania prób odcięcia np. wody następowała powszechna mobilizacja: „Zebrały się też wszystkie gospodynie domowe z okolicznych ulic. Dzieci biegały po ulicach nawołując do manifestacji”.²² W niektórych miejscach inicjatywę przejęły grupy młodych robotników, którzy na co dzień starali się utrzymywać kontakty z mieszkańcami i organizować ruch wykraczający poza kontekst samego protestu przeciwko eksmisjom. Swoje żądanie grupa ta formułowała w powiązaniu z, jak to określa Castells, „walką Polityczną”. W szerszym znaczeniu nie udało się osiągnąć komitetom oporu przekwaterowań zgodnych z interesami wszystkim mieszkańców, ale wiele wywalało zono w poszczególnych przypadkach.

W latach 70. w największych miastach USA, gdzie procesy wyludnienia centrów miast zaczęły być szczególnie widoczne, wystąpiono z postulatem „przetrwania dawnych użytkowników dzielnicy” („the survival of the earlier use of a district”), koncentrując się zwłaszcza na przedstawicielach warstw wyższych, którzy jeszcze nie opuścili swoich dzielnic i nie wyprowadzili się na przedmieścia. Wychodzono tu z założenia, że obecność w centrum miasta zamożnych grup ludności nie jest przeżytkiem, ale trwałym elementem społeczno-przestrzennej struktury miasta. Zakładano także, że w miarę rekonstrukcji centralnych, starych dzielnic miast, w centrum zaczną się na nowo osiedlać elity. W ten sposób pauperyzacja centrum miała zostać zahamowana, a struktura społeczna ulec zróżnicowaniu. Późniejsze badania częściowo tylko potwierdziły sensowność takiego podejścia. Wprawdzie w latach 70. zrekonstruowano wiele dzielnic i wprowadzili się do nich bardziej zamożni lokatorzy, to jednak skala tego zjawiska nie była na tyle duża, aby odwrócić negatywne trendy migracyjne.²³ Taka polityka, która i tak nie dość duży nacisk kładzie na problemy różnic w zamożności, przynależności klasowej, wykształcenia, a także nie robi wszystkiego, dla

²² Manuel Castells, tamże, s. 356

²³ Jan Węglewski, „Metropolitalna Ameryka”, Warszawa 1988, s. 70

równego traktowania niższych warstw społecznych, nie przynosi odpowiednich efektów w postaci poprawy sytuacji najbiedniejszych.

Jeszcze innym problemem jest podporządkowanie urbanistyki i planowania przestrzennego potrzebom korporacji. Pisałem wiele na ten temat w „Globalizacji i konfliktach lokalnych”. Działania takie są źródłem protestów społecznych. W tym kontekście, na uwagę zasługuje też doświadczenie grupy ARAU (Atelier de Recherche et d'Action Urbaine) z Brukseli, która powstała w 1969, by powstrzymać przebudowę stolicy Belgii dyktowaną przez wielkie koncerny. Maurcie Cuolt, jeden z członków grupy powiedział: „Odrzucamy wszelkie propozycje, które wyganiają mieszkańców z miasta. Nie zmuszamy ludzi do przyjmowania naszych gustów, lecz postępujemy według rad ludzi, których to interesuje”. Podjęcie przez ARAU współpracy z prawnikami i dziesiątkami obywatelskich komitetów doprowadziło do odstąpienia od wyburzeń w wielu miejscach, co ciekawe i ważne - ARAU nie stanowiła siły inicjującej nową zabudowę.

Polityka przestrzenna zmierzająca do swobodnego „przemieszczania biedy” w mieście może być kreowana poprzez narzędzie jakim jest planowanie przestrzenne (i plany renowacyjne), ale może także poprzez prawo. Tak się stało w Polsce, gdzie w 1994 roku, jako następstwo prywatyzacji zasobów mieszkaniowych i sukcesywnej rezygnacji samorządów z wpływu na tryb najmów lokali wprowadzono ustawę, która de facto oznaczała możliwość eksmitowania „na bruk” rodzin nie płacących czynszów. Dokładna skala tego zjawiska nie jest znana. Przedstawiciele zmobilizowanego w obronie eksmitowanych ogólnopolskiego ruchu twierdzili w niektórych publikacjach, że w latach 1994 - 2000 dokonano ok. 20,5 tysięcy eksmisji, z czego większość to były eksmisje na bruk. Liczba ta wydaje się jednak i tak zaniżona. W szczytowym okresie (w 1999 r.) sądy orzekły ponad 21,5 tys. eksmisji, z czego komornicy wykonali 9382. Ponad połowa to były eksmisje na bruk. W 2000 roku sądy orzekły blisko 10 tys. eksmisji, z czego komornicy wykonali 4527.²⁴ Zatem tylko w latach 1999 i 2000 eksmitowano blisko 14 tysięcy rodzin, z czego zdecydowaną większość na bruk, ale liczba ta nie obejmuje przypadków, kiedy sami właściciele, bez pomocy ze strony komorników i policji, zdołali wyrzucić lokatorów z zajmowanych przez nich mieszkań, niejednokrotnie w sposób bardzo brutalny i bez odpowiedniego wyroku sądowego. Spowodowało to falę protestów niemal we wszystkich większych miastach. W poznańskiej ulotce Federacji Anarchistycznej (kwiecień 2001) dotyczącej eksmisji czytamy: „Zabawa państwa, w oczyszczanie ze „zbędnych elementów” miast, ludzi nie pasujących do świetlistej wizji kapitalistycznego (k)raju Balcerowicza i spółki trwa cały rok. Biurokratyczna machina, gdy trzeba, jest nad wyraz sprawna. W Toruniu, samotnie wychowująca matka dwojga dzieci, która zajęła i wyremontowała część opuszczonej kamienicy postanowiła, zgodnie z własnym sumieniem płacić za wynajem miastu. Kiedy tylko poinformowała o tym odpowiedni urząd, otrzymała pismo orzekające o eksmisji. We Wrocławiu policja zaatakowała skłot na ulicy Kromera, kilkanaście osób straciło w jednej chwili miejsce zamieszkania, ich dobytek został zniszczony. Po udanej akcji policja zaproponowała skłotersom miejsce w schronisku dla bezdomnych (wcześniej policja przeprowadzała różnego rodzaju prowo-

²⁴ J. Pilczyński, „Koniec eksmisji na bruk”, Rzeczpospolita 1.10.2002

kacje). Przykładów pracy systemu na rzecz obywateli jest wiele. Nie ma co narzekać na policję, jest skuteczna, udowodni jeszcze swoją skuteczność gumowymi kulami, gdy bezrobotni i reszta zbędnych elementów społeczeństwa wyjdzie na ulicę zaprotestować swój gniew. Próba przekupienia przez polityków opinii publicznej ustawą o zakazie eksmisji na bruk osób niepełnosprawnych, rodzin z dziećmi może być skuteczna jedynie przez chwilę. Nie zmieni to faktu, że jedyny sposób państwa na zwalczanie bezdomności to policyjna pałka. W zeszłym roku, w samym tylko Poznaniu, dokonano czterystu eksmisji, z czego tylko nielicznym osobom zagwarantowano lokal zastępczy. W tym roku rekord pewnie zostanie znowu pobity”. Jednak w wyniku protestów społecznych dokonano zmian legislacyjnych, co wpłynęło na to, iż z biegiem czasu liczba eksmisji malała. Ostatecznie w lutym 2005 roku zakazano eksmisji na bruk. Jednak w tym samym roku nowe regulacje przyniosły uwolnienie czynszów mieszkaniowych, do tej pory podlegających ograniczeniom. I znowu, jeżeli najemca nie będzie mógł płacić, właściciel może nasłać na niego komornika, który tym razem może zająć wynagrodzenie lub znajdujący się w mieszkaniu sprzęt. Komornik stał się w tym systemie jedną z najbardziej represyjnych instytucji, dość powiedzieć, że tylko w latach 2000-2003 w Polsce, z różnego powodu, liczba interwencji komorniczych wzrosła z 851 tys. do 1.290 tys.!

Problem eksmisji ma jeszcze drugie dno. W wyniku represji komorniczych liczba zaległości czynszowych zmalała, pomimo pogarszającej się w Polsce od 1997 roku sytuacji materialnej rodzin i gwałtownego wzrostu bezrobocia. Z drugiej strony państwo i samorządy nie wypracowały żadnego programu masowego budownictwa socjalnego. W latach 90. budownictwo społeczne przeżyło głęboki kryzys, a liczba nowo wybudowanych mieszkań komunalnych o niskich czynszach malała. W ciągu 5 lat (1999-2003) na 536 tysięcy nowych mieszkań oddanych do użytku, gminy w systemie budownictwa komunalnego, z definicji dla gorzej uposażonych, oddały do użytku jedynie 11,5 tys. mieszkań, co stanowi ledwie 2,1% wszystkich nowo wybudowanych lokali i stoi w rażącej sprzeczności z danymi dotyczącymi eksmisji. W 1999 i 2000 roku gminy w całej Polsce oddały do użytku 4574 lokale komunalne, wobec, jak pisałem wyżej, 14 tys. odnotowanych eksmisji. Zestawienie tych liczb obrazuje faktyczne cele i kierunki polityki mieszkaniowej i przestrzennej państwa.

W Polsce na dzień dzisiejszy ok. 10% najemców zalega z opłatami i czynszami, jednak nie ma u nas, tak jak w innych krajach, większej tradycji i doświadczeń w zakresie strajków czynszowych. Jedną z najbardziej udanych prób tego typu działań były strajki czynszowe zorganizowane w latach 30. XX wieku przez anarchosyndykalistyczny związek zawodowy CNT (Narodowa Konfederacja Pracy) w Barcelonie. W 1931 roku w strajku tym wzięło udział 45 tys., a w lipcu 100 tys. mieszkańców stolicy Katalonii.²⁵ Jak pisze A.Corr związki zawodowe często traktowały strajki czynszowe jako przedłużenie walki klasowej. W czasie masowego strajku czynszowego na Bronxie w latach 1975-76 mieszkańcy otrzymali słowa poparcia ze strony organizacji związkowych, które uważały, że ich walka to przejaw tego samego konfliktu związanego z systemem kapitalistycznego wyzysku.

²⁵ Tom Wetzel, „Barceloński strajk czynszowy w 1931 r.”, maszynopis przygotowywanej książki na temat historii i strategii ruchu anarchosyndykalistycznego.

To oczywiste, że polityka ekonomiczna w sferze mieszkalnictwa uderza we wszystkich najbiedniejszych i prowadzi do wzrostu bezdomnych, ale mylił by się ten, kto sądziłby, iż to koniec problemu. Bezdomność staje się nie tylko symbolem degradacji ekonomicznej.

Ludzie pozbawieni swojego lokum stają się łatwymi ofiarami planowej represji ze strony państwa. Najdobitniej świadczyć może o tym polityka zero tolerancji” forsowana swego czasu przez konserwatywnego „burmistrza Nowego Jorku, Rudi Giulianiego, który „dążąc do wizerunku miasta jako miejsca, gdzie odnosi się sukces wprowadził nowe prawo wymierzone przeciwko bezdomnym, którzy zgodnie z nowymi regulacjami stawali się przestępcami. Wyasygnował środki finansowe na specjalne nocne patrole policji, przeganiające i ścigające śpiących na ulicach”.²⁶ W ten sposób piętrzą się kolejne bariery i separacja społeczna, której zwieńczeniem jest brazylijskie polowanie na bezdomne dzieci. Z drugiej strony odpowiedzią na taki stan rzeczy jest ruch samowolnego osadnictwa, biorący się z przekonania, że mieszkanie jest prawem, a nie przywilejem. Po stronie bezdomnych opowiadają się niestety należący do mniejszości zaangażowani politycznie architekci jak Krzysztof Wodiczko, polski artysta mieszkający w USA., który stawia zasadnicze pytanie swojemu środowisku zawodowemu: „jak wysoko w swoich intelektualno-artystycznych poszukiwaniach można się wznieść ponad ziemię? Jak daleko weszliśmy w problematykę socjalnej strefy, gdy gramy i bawimy się naszą kreatywną wolnością? Do jakiego stopnia nasze życie twórcze jest mechanizmem kontrolowanym przez etyczną świadomość? Na ile jest to maszyna będąca jedynie częścią państwowego aparatu, który jest albo centralnie kontrolowany w autorytarny sposób, albo działa z krótkowzrocznością liberalizmu, albo jest maszyną napędzaną barbarzyństwem kapitalizmu?”²⁷

²⁶ Marcin Mateusz Kołakowski, „Cywilizacja bez domu - cywilizacja bez sensu”, A&B Architektura i Biznes, nr 12/2004

²⁷ Marcin Mateusz Kołakowski, tamże.

Rozdział 3. Wyzwalanie przestrzeni zawłaszczonej

Dyktatura reklamy. Semantyczna partyzantka miejska. Digital City.

Naomi Klein na pierwszych stronach książki „No logo” przywołuje bardzo sugestywny obraz swojego miasta i dzielnicy gdzie kiedyś zdomował się przemysł odzieżowy; obecnie, jak twierdzi Klein, wiele budowli. dokładnie jak w zdewastowanej Łodzi, zieje pustką, a wejścia pozabijane są deskami: „ich ostatnia funkcja w służbie kapitalizmowi sprowadzała się do dźwigania na smołowych dachach ogromnych, mrugających billboardów. przypominającym kierowcom uwięzionych w korkach na autostradzie o istnieniu piwa Molson, samochodów marki Hyundai i stacji radiowej EZ Rock FM. W latach 20. i 30. ulice te - ciągnie dalej autorka „No logo” - tętniły życiem, imigranci z Polski i Rosji zachodzili do garmażerii na rogu podyskutować o Trockim i kierownictwie Międzynarodowego Związku Zawodowego Robotników Branży Konfekcji Damskiej. Jeszcze dzisiaj starzy Portugalczycy pchają po chodnikach stelaże obwieszone sukniami i żakietami, a w sklepie obok w razie nagłej potrzeby (np. przedstawienia szkolnego teatrzyku) można kupić ślubny diadem ze sztucznych diamentów. Jednak prawdziwe życie toczy się na drugim końcu tej samej ulicy, pośród straganów z jadalną biżuterią Sugar Mountain, cukierkowej mekki w stylu retro. która do drugiej w nocy zaspokaja ironiczne apetyty bywalców klubów. W sklepie na parterze nadal kręci się skromny handelek nagimi, łysymi manekinami. chociaż jego właściciele żyją głównie z odnajmowania pomieszczeń kręcącym surrealistyczne obrazy szkolnym klubom filmowym oraz ekipom telewizyjnym, szukającym odlotowego tła dla wywiadów. Nawarstwione dziesięciolecia nadały Spadina Avenue. podobnie jak zepchniętym do postindustrialnego lamusa dzielnicom tyłu innych miast, cudownego uroku przypadkowości. Strychy i pracownie zamieszkują ludzie świadomi odgrywanej przez siebie roli w miejskim performance, starający się jednak nie zwracać nań uwagi. Za każdym razem, kiedy ktoś uzurpuje sobie wyłączne prawo do ”prawdziwej Spadiny”, reszta zaczyna czuć się jak tanie rekwizyty i cała misterna budowla wali się w gruzy. Dlatego właśnie niedobrze się stało, że władze miejskie uznały za stosowne ”uczcić” historię Spadina Avenue serią ulicznych instalacji. Najpierw na latarniach wyrosły stalowe figury pochylonych nad maszynami szwaczek i strajkujących robotników wymachujących transparentami z nieczytelnymi hasłami. Potem nadeszło najgorsze: na rogu koło mojego domu wyrósł gigantyczny mosiężny naparstek. Wysoki na jedenaście i pół, a szeroki na jedenaście stóp, wygląda strasznie. Obok niego rozlały się na chodniku dwa ogromne pastelowe guziki, a z ich dziurek wychynęły rachityczne drzewka. Bogu dzięki, że Emrna Goldman, znana anar-

chistka i działaczka ruchu robotniczego, mieszkająca na tej ulicy pod koniec lat 30., nie może już zobaczyć tego pseudorobotniczego kiczu, do którego sprowadzono autentyczną walkę pracowników przemysłu odzieżowego”.¹

W „No logo” Klein dużo miejsca poświęca problemowi miejskiej przestrzeni, która podzielona, sprywatyzowana i skomercjalizowana zostaje podporządkowana marketingowym celom korporacji i gospodarce kapitalistycznej. Jak podaje np. w Stanach Zjednoczonych wydatki na reklamę w ostatnich 20 latach wzrosły czterokrotnie od 50 do blisko 200 mld. dolarów rocznie. Gros z tych pieniędzy zostaje „zainwestowane” w tzw. reklamę zewnętrzną („outdoor”) manifestującą się najdobitniej w wielkoformatowych plakatach („billboard”), ale nie tylko. Inwazja tego rodzaju reklamy doprowadziła do zajmowania przez nią każdego dającego się wykupić miejsca na ścianach domów, słupach, przystankach tramwajowych i autobusowych, w metrze, a nawet na śmietnikach i na chodnikach. Korporacje, przeznaczające na reklamę ogromne budżety, prześcigają się w „oryginalności” pod tym względem. Mankament tkwi w tym, iż wraz z transakcjami oddającymi prywatnym firmom w użytkowanie określone powierzchnie, komercjalizacji ulega jednocześnie wspólny krajobraz miejski.

Korporacje anektują miejsca, które służyły kiedyś wszystkim mieszkańcom. W Poznaniu np. wszelkiego typu drobne ogłoszenia dotyczące pracy czy korepetycji musiały zniknąć z przystanków tramwajowych i autobusowych, bowiem przestrzeń została tam udostępniona (sprzedana) agencjom reklamowym. Ucierpiały na tym też stowarzyszenia użyteczności publicznej, które dzięki plakatom mogły w sposób tani dotrzeć do osób oczekujących ich pomocy. Teraz aby to zrobić muszą zapłacić całkiem spore pieniądze. Specjalna firma nadzoruje, czy ktoś nieuprawniony (oczywiście nieuprawniony w sensie komercyjnym) użytkuje sprywatyzowaną przestrzeń miejską. Wtargnięcie na ten „teren” bez odpowiedniej opłaty, rozlepiając np. plakaty, zostaje ukarane mandatem. Tym sposobem w ciągu zaledwie kilku lat doprowadzono, pod pozorem wymogów estetycznych, do sprywatyzowania całych, wcześniej wspólnych, obszarów miasta. N.Klein cytuje wypowiedź Davida Ogilvy, założyciela jednej z. największych na świecie agencji reklamowych Ogilvy & Mather:

„Jako osoba prywatna, jestem entuzjastą pejzażu, a nigdy jeszcze nie widziałem takiego, któremu pomogłaby obecność billboardu. Trzeba być ostatnim łotrem, żeby szpecił billboardami radujące oko przestrzenie. Po przejściu na emeryturę zamierzam stworzyć tajną organizację, zamaskowaną straż obywatelską, której członkowie będą jeździć po świecie na bezszelestnych motocyklach i pod osłoną nocy obalać reklamy. Któryż sąd potępi nas za te akty zbawiennej obywatelskiej dojrzałości?”²

Gdyby Ogilvy faktycznie to zrobił, łatwo by się przekonał, że sądy karzą za takie obywatelskie nieposłuszeństwo z całą surowością. A jednak znajdują się tacy, którzy nie wahają się wypowiedzieć posłuszeństwo dyktaturze reklamy.

¹ Naomi Klein, tamże, s. 21

² Naomi Klein, tamże, s. 299

Takie grupy jak Billboard Liberation Front z San Francisco, czy Radykalna Akcja Twórcza z Trójmiasta za cel stawiają sobie wykorzystanie miejsca zajętego i dostosowanego przez korporację na potrzeby reklamy, stosując strategię określoną przez Saula Alinsky'ego jako „politycznego jujitsu”, która oznacza wykorzystanie „siły jakiejś części struktury władzy przeciwko niej samej...”. Na miejsce dotychczasowych billboardów pokazują się inne megaplakaty, godzące we władzę, czy korporację, lub istniejące billboardy zostają odpowiednio przekształcone poprzez zmianę czy dodanie hasła, zyskując całkiem inną wymowę. Choć działania takie szczególnego rozmachu nabrały w latach 90. to jednak ich pomysł, jak można się spodziewać, narodził się wcześniej. Jeden z animatorów holenderskiego ruchu „provos” (lata 60. XX wieku) Roel van zafascynowany myślą anarchistyczną, działami Herberta Marcusego i dadaizmem, tkwiąc w nałogu dowodził, że papierosy są najlepszym przykładem zniewolenia społeczeństwa przez rozbuchaną konsumpcję. Jego pierwsze akcje polegały na dopisywaniu na billboardach koncernów tytoniowych słowa „Rak!”. Za swoje działania trafił do więzienia.³ W Polsce podobnego typu akcje polegały na dopisywaniu „z szablonu” stwierdzeń: „i chuj” albo „po co ci to?”. Jednak najbardziej twórcze są działania polegające na niewielkiej przeróbce hasła reklamowego, tak aby jednak w radykalny sposób zmienić jego treść i przesłanie, albo włączyć się ze swoim przesłaniem na konkretnym etapie kampanii reklamowej. W połowie lat 90. telewizja Polsat organizowała kampanię promując pod swoim logo fundusz emerytalny. Kampania miała charakter wielostopniowy i najpierw pojawiało się samo logo na kompletnie białym tle, a dopiero później odpowiednie hasło. W Poznaniu pod „samotnymi” logami 'polsatu zaczęto dopisywać zdanie „jeszcze więcej krwi”. Hasło: Polsat jeszcze więcej krwi” oczywiście nawiązywało do niewybrednego i kompletnie skomercjalizowanego programu oferowanego przez tę stację, co zwłaszcza w kontekście promocji funduszu emerytalnego, nabierało wieloznacznego kontekstu. Podobnym atakom mogą ulec nie tylko billboardy, ale także np. - ze strony hakerów - komercyjne strony internetowe.

Tego typu akcje określane jako „jamming culture” czy „adbusting” stają się coraz popularniejsze. To swego rodzaju semantyczna partyzantka, której celem jest wyzwolenie przestrzeni spod okupacji i wpływów korporacji. Jurgen Habermas wiele lat wcześniej stwierdził, iż nasze życie codzienne ulega zawłaszczeniu przez różnego rodzaju systemy (Habermas, ściślej mówiąc, nazywa je „podsystemami”) spośród których największe znaczenie mają rynek i państwo. Efektem tego jest przede wszystkim zatamowanie świadomości społecznej poddanej wpływom ideologii indywidualnego konsumpcjonizmu. Dalej Habermas stwierdza, że przeciwdziałanie rozpadowi społecznemu i poszukiwanie nowej tożsamości nie może w zglobalizowanym świecie odbywać się w odniesieniu do konkretnego terytorium, czy opierać się na konkretnej organizacji, nie może to być ani stowarzyszenie, ani członkostwo. O ile dość łatwo możemy uznać, że w chwili obecnej np. partie polityczne, związki zawodowe, związki wyznaniowe czy stowarzyszenia, stają się coraz rzadziej źródłem tożsamości, to w przypadku terytorium teza Habermasa wydaje się wyjątkowo radykalna. Jednak Castells w ostatniej swojej książce „Galaktyka internetu” stwierdza: „....

³ Marek Tobolewski, „Provo-katorzy“, Nowy Robotnik, 4/2005

na podstawie swoich obserwacji wzorców osadnictwa cechujących dzikich lokatorów w Ameryce Łacińskiej, jak również innych badań twierdzą, że bliskość terytorialna przynajmniej od ćwierćwiecza nie ma już znaczącego wpływu na kształtowanie związków społecznych w większości dotkniętych biedą regionów”.⁴ Płaszczyzną komunikacji coraz częściej staje się internet, który zastępuje „terytorium w roli platformy kontaktów społecznych”. „Decydujące jest więc przesunięcie, pisze Castells, z przestrzennie ograniczonego sąsiedztwa jako źródła związków międzyludzkich do przestrzennej społeczności jako wyrazu organizacji społecznej”⁵. Jako przykład konsekwencji dla „miejskości” tego procesu podaje amsterdamski Digital City (Miasto Cyfrowe), czyli miasto w „sieci” (internecie), które wg Castellsa było pokłosiem ruchu skłoterskiego. W eksperymencie tym w 1997 roku uczestniczyło 50 tys. internautów, którzy brali udział w życiu miasta poprzez „sieć”. Nie jest dla mnie jasny cel tego eksperymentu, który ostatecznie się załamał. Można się w nim oczywiście doszukiwać próby przetestowania nowych form komunikacji wykorzystania w odbud społecznej i możliwości ich wykorzystania w odbudowie przeżywających kryzys instytucji demokratycznych. W takim ujęciu może to odpowiadać nadziei Habermas, który szans zmian społecznych społecznych upatruje w pragmatyce porozumienia językowego. Zbliża się on w swojej koncepcji do pozycji Chomsky’iego, dla którego kompetencje językowe i genetyczna dziedziczność struktur gramatycznych, nieograniczona i naturalna kreatywność językowa, pozwala przypuszczać, że człowiek ma wrodzone zdolności do wolności w myśleniu i wyrażaniu siebie, do spontaniczności i twórczego działania.⁶ Entuzjaści cyfrowych środków komunikacji, przejmując od McLuhana tezę o identyczności środka przekazu z jego treścią, w rozwoju technologii upatrują możliwości odnalezienia portalu, który przeniesie ich do królestwa wolności. Bohaterami tego ruchu są hakerzy i krakerzy, którzy mają wytyczać nowe szlaki ruchu, walcząc o wolności komunikacji w „sieci”. Jednak jak dobrze zauważa Zygmunt Bauman, kiedy przepływ informacji globalizuje się, m.in. dzięki lub nawet przede wszystkim internetowi, zaczyna równolegle działać proces „lokalizacji”, „który zmierza do precyzyjnego zdefiniowania przestrzeni i osadzeniu jej w miejscu”⁷. Więcej, ludzie nie chcą się pogodzić, iż „lokalność” jest synonimem upośledzenia, degradacji, nie chcą zaakceptować postępującej przestrzennej segregacji i wykluczenia. „Lokalność” jest tak naprawdę istotą wyjścia z „Matrix”, wirtualnej rzeczywistości, odzyskania swojej „cielesności” i fizycznej namacalności przestrzeni.

Zdolność do kreatywności językowej uniemożliwia powstanie sytuacji, kiedy któryś ze systemów (podsystemów), państwo czy rynek, chciałby całkowicie zawładnąć naszym życiem codziennym. Fakt ten najdobitniej potwierdzają akcje adbusterów, niweczące wysiłki konsumpcyjnej indoktrynacji i postępującej za nią atomizacji społecznej. Potwierdzają ha-

⁴ Manuel Castells, „Galaktyka internetu”, Poznań 2003, s. 146

⁵ Manuel Castells, tamże s. 147

⁶ Więcej na ten temat w artykule Sławomira Magali, „Kolonizacja życia codziennego (Jurgen Habermas i konieczność historyczna)”, *Studia Filozoficzne* 7/1984, oraz Zbysława Muszyńskiego. „Noam Chomsky: Gramatyka, gramatyczność i twórczość, czyli między gramatyką a polityką”, w „Noam Chomsky. inspiracje i perspe tywy”, red. Henryk Kardeli i Zbysław Myszyński, Warszawa 1991.

⁷ Zygmunt Bauman, „Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika”, Warszawa 2000, s. 6. “

kerzy nie pozwalając, aby dynamiczny rozwój technologii komunikacyjnej i wiedzy z nią związanej, został sprywatyzowany i zawłaszczony przez korporację czy władzę polityczną. Rozwijając tę myśl można stwierdzić - traktując miasto W sensie symbolicznym, jako swoistą mapę czy semantyczną przestrzeń - że w dniu dzisiejszym decydujące znaczenie ma. zrozumienie „języka miasta” i odróżnienie marketingowej „nowomowy” od „języka dialogu społecznego” niezbędnego Przy powoływaniu i utrzymywaniu głęboko demokratycznych relacji międzyludzkich, w „sieci” i poza nią. Język w takiej koncepcji staje się podstawową siłą przekształcającą rzeczywistość.

RTS - odebrać ulice. Auto-dominacja. Masa krytyczna.

RTS-ersi (Reclaim The Streets - Odebrać Ulice), czyli ruch na rzecz ochrony środowiska miejskiego, wprowadzili do miejskiej dżungli język i taktykę wojujących ekologów, dodając postulat zachowania nieskomercjalizowanej przestrzeni w miastach...”⁸. Pierwsza akcja RTS (W 1993 r.) odbyła się w obronie Claremont Road w Londynie. Ulica ta miała zniknąć pod planowaną autostradą. Dla jej wybudowania Ministerstwo Transportu musiało zburzyć 350 domów i wysiedlić kilka tysięcy ludzi, przebić się przez jeden z ostatnich starych obszarów leśnych Londynu i zeszpecić okolicę sześcioma pasami asfaltu za 240 mln. funtów, a wszystko po to jak opisuje Klein aby zaoszczędzić 6 minut jazdy samochodem. „Widząc, że władze nic sobie nie robię z gwałtownych protestów mieszkańców, grupa aktywistów postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce i uniemożliwić pracę buldożerom, przekształcając Claremont Road w żywą fortecę. Powystawiali na ulicę kanapy, zawiesili na gałęziach drzew telewizory, namalowali na środku jezdni gigantyczną szachownicę i poustawiali przed przeznaczonymi do rozbiórki domami tablice parodiujące reklamę podmiejskich osiedli, głoszące: 'Witajcie na Claremont Road, Osiedlu Domów Idealnych'. Aktywiści włączyli na drzewa oraz dźwigi, skąd puszczali muzykę i posyłali całusy policjantom i pracującym w dole robotnikom. Opustoszałe domy połączono podziemnymi tunelami i ozdobiono instalacjami artystycznymi. Porzucone na ulicy stare samochody, oblepione hasłami i pomalowane w zebry, wypełniono ziemią i zmieniono w kwitnące gazony. Samochody służyły nie tylko ozdobie, lecz również skutecznie spełniały rolę barykady, podobnie jak 30-metrowa wieża z elementów rusztowania, wyrastająca przez dach jednego z budynków. Przyjęta taktyka (...) nie polegała na posłużeniu się sztuką dla osiągnięcia konkretnego celu politycznego, lecz na przekształceniu jej w pragmatyczne narzędzie polityczne...”⁹ W październiku 1994 roku Claremont Road ostatecznie zrównano z ziemią jednak, jak podsumowuje akcje Klein, w chwili, gdy władze przystąpiły do wyłuskiwania aktywistów z ich domków na drzewach, cel akcji „poglądowe, dobitne zilustrowanie tezy, iż drogi szybkiego ruchu wysysają życie z miast, został całkowicie osiągnięty”.¹⁰

Istotnie - samochody zdominowały przestrzeń miejską w sposób tak zdecydowany, stając w przeważającym procencie o jej jakości, że dziś stan ten większość mieszkańców uważa za zupełnie naturalny. Tymczasem inwazja motoryzacji i podporządkowanie samo-

⁸ Naomi Klein, „No logo”, Izabelin 2004, s. 331

⁹ Naomi Klein, tamże, s. 331-332

¹⁰ Naomi Klein, tamże, s. 332

chodom przestrzeni miejskiej ma swoje określone przyczyny. Jim Klein i Martha Olson w filmie "Wpuszczeni w korek" ("Taken for a ride") ukazującego typu mechanizmy. Ten film to, jak mówią sami twórcy, „historia o tym jak doszło do tego co jest obecnie: dlaczego tkwienie w korku wydaje się być czymś naturalnym, dlaczego amerykański transport publiczny jest najgorszy w uprzemysłowionym świecie i dlaczego autostrady tną serca naszych miast. To historia o tym jak samochód i lobby autostradowe zmieniło kształt Ameryki” i - dodajmy - kształt wielu innych krajów. Zniszczenie transportu publicznego było planowym i nielegalnym działaniem koncernów samochodowych (zwłaszcza General Motors) których celem było osiągnięcie jak najwyższych zysków kosztem całego społeczeństwa, jego zdrowia i jakości życia. Skala zniszczeń dokonana przez motoryzację jest ogromna, nie mniej samochód wielu traktuje jak dobrodziejstwo. Pod indoktrynującym wpływem reklamy utraciliśmy zdolność do rozpoznania auta jako utrapienia, od auta jako wygody. Herbert Marcuse zwrócił uwagę na fakt, że same produkty, zwłaszcza samochód, stają się formą ideologicznej dominacji: „Wyroby indoktrynują - pisał - manipulują; wspierają fałszywą świadomość, która nie zauważa własnego fałszu”. Wyłania się z tego „wzór jednowymiarowej myśli i zachowania”, gdzie inne poglądy, idee i działania są redukowane lub od rzucane.¹¹ Ot, choćby tacy rowerzyści.

W Polsce w ostatnich 15 latach gwałtownemu wzrostowi ilości aut, towarzyszył również głęboki i permanentny kryzys transportu publicznego. Nie może zatem dziwić, że i u nas pojawił się ruch miejski, występujący przeciwko auto-dominacji. „Masa Krytyczna - czytam w Wikipedii¹² - to nieformalny ruch społeczny, który polega na organizowaniu spotkań maksymalnie licznej grupy rowerzystów i ich wspólnym przejeździe przez miasto. Spotkania te odbywają się pod hasłem "My nie blokujemy ruchu, my jesteśmy ruchem" i mają na celu zwrócenie uwagi władz i ogółu społeczeństwa na zwykle ignorowanych rowerzystów. Oprócz walki o równe prawa na drogach, spotkania te mają też charakter integrujący rozmaite, zwykle rozproszone grupy ludzi idących "pod prąd" większościowym trendom społecznym. Masa Krytyczna, jakkolwiek w praktyce jest na początku organizowana przez grupy zapaleńców, ma charakter anarchiczny i nikt formalnie nie sprawuje nad nią kontroli. Po ustaleniu się w danym mieście pewnej tradycji co do miejsca i czasu spotkania, ruch ten nie wymaga już żadnej organizacji, gdyż zainteresowani udziałem w spotkaniach rowerzyści, niejako samorzutnie zbierają się i po prostu wspólnie jadą przez miasto, uzgodnioną na zasadzie konsensusu, mniej lub bardziej przypadkowo wybraną trasą. Informowanie o spotkaniach również ma charakter anarchiczny i polega zazwyczaj na tzw. "kserokracji", czyli powielaniu rozprowadzaniu po mieście niewielkich ulotek, oraz strony internetowej, zwykle umieszczonej na bezpłatnym serwerze. Przejazd bardzo licznej grupy rowerzystów przez miasto powoduje zazwyczaj spowolnienie ruchu samochodowego, bądź nawet jego czasowe wstrzymanie i przejęcie na moment jezdni pod "władanie" rowerzystów. W teorii, blokowanie ruchu samochodów, ma wystąpić niejako naturalnie przez odwrócenie zwykłych proporcji pojazdów na drodze (dużo rowerów, mało samochodów),

¹¹ Hubert Marcuse, „Człowiek jednowymiarowy”, W-wa 1991, s. 30

¹² http://pl.wikipedia.org/wiki/Masa_Krytyczna

bez naruszania jakichkolwiek przepisów drogowych. W praktyce jednak dochodzi czasami do łamania przepisów przez niektórych uczestników ruchu, co jest najbardziej kontrowersyjnym i często krytykowanym przez oponentów a niemal nieodłącznym elementem tych przejazdów.

Masa Krytyczna została zapoczątkowana w 1992 roku w San Francisco, gdzie odbywa się do dzisiaj w każdy ostatni piątek miesiąca. Idea ta została przeniesiona następnie do innych miast w USA, a następnie do Europy, Australii i kilku miast w Azji. Obecnie Masa Krytyczna odbywa się w ok. 300-350 miastach na całym świecie. Największe imprezy odbywają się wciąż w San Francisco - (ok. 2000 osób), Nowym Jorku (ok. 5000), Londynie (1500) i Berlinie (od 500 do 1000 osób). W Polsce największe spotkania i przejazdy miały miejsce: w postaci dorocznego przejazdu rowerzystów w Gdańsku - 4000 osób w czerwcu 2004 r., w postaci comiesięcznej imprezy w Warszawie - 1400 osób w sierpniu 2004 r."

Ten sielankowy opis może mylić i zastanawiać, w jaki sposób tego typu działania mogą zagrażać systemowi władzy przestrzennej. Jednak brutalność niektórych interwencji policji łatwo uzmysławia faktyczny charakter tego ruchu. Poznań 28 listopada 2004: „O godzinie 18. podjechało kilka samochodów, z których wyskoczyli młodzi funkcjonariusze by poddać rutynowej kontroli rowerzystów. Spisanie powszechne cyklistów i demonstracja ruszyła. Rynek, Szkolna. Na Podgórznej odezwała się policyjna szczekaczka "nie utrudniać ruchu.". Niezbyt wiemy czego od nas chcą. Można przejechać jednym pasem. Czerwone światło na Marcinkowskiego, posłusznie stoimy. Zielone ruszamy, wjeżdżamy na 27 grudnia. Słychać policyjne syreny, samochody swobodnie mijają rowerzystów i zajeżdżają drogę. Zaczyna się łapanka na całej długości remontowanego Placu Wolności. Jadących ludzi policjanci bez pardonu zrzucają z rowerów, byle jak najszybciej i jak najwięcej. Część rowerzystów omija policyjną blokadę, gorzej mają samochody i tramwaje. Zatrzymani traktowani są przez policjantów jak bydło. "Rzuca się nimi" na maski samochodów i na otaczający Plac Wolności płot. Ubliza się im, szarpie, kopie, szykanuje i poniża. Prowokacja jest wpisana w scenariusz interwencji". Warszawa, 21 czerwca 2002: „Ok. 400 rowerzystów spotkało się pod Zygmuntem skąd w atmosferze pikniku wolniutko przejechali Traktem Królewskim, Al. Jerozolimskimi. Marszałkowską. Na Pl Konstytucji powitały ich oddziały policji w hełmach i kamizelkach kuloodpornych uzbrojonych w pałki i strzelby, za to bez numerów służbowych. po długiej dyskusji wynegocjowana została trasa powrotu na Plac Zamkowy, gdzie przejazd miał się zakończyć. Mimo to na uzgodnionej trasie rowerzyści zostali dwukrotnie zaatakowani przez uzbrojonych zomowców. Do późnej nocy trwały łapanki, w których zatrzymywano przypadkowych cyklistów pod coraz bardziej absurdalnymi zarzutami". Ostatecznie - pomimo represji - ruch Masy Krytycznej w Polsce trwa i istnieje w wielu miastach: Szczecin. Łódź. Częstochowa, Opole, Poznań, Gdańsk, Warszawa, Wrocław, Przemyśl, Radom, Bydgoszcz, itd. stanowiąc opór auto-indoktrynacji.

Rozdział 4. Od samowoli do partycypacji

Krasnale, wolnościowy municypalizm i budżet partycypacyjny. Czy kryzys partycypacji.

Cofnijmy się znowu w czasie - jest rok 1970. „Alternatywne społeczeństwo wyłania się z podkultury związanej z istniejącym porządkiem. Wspólnota podziemna złożona ze zdrowej młodzieży wychodzi teraz na powierzchnię i ma zamiar rządzić się sama, wbrew autorytetom. Rewolucja trwa. Koniec podziemia, protestów, demonstracji. Od tej chwili będziemy kierować naszą energią na zbudowanie wolnego społeczeństwa. Ze starych tradycji weźmiemy to, co może się przydać: wiedzę, idee liberalizmu i socjalizmu. Silna roślinność czerpie siły vitalne z gruntu na którym wyrosła”. Na światło dzienne wyłania się w Holandii ruch Kaburetsów („krasnali”), po sporej części kontynuatorów ruchu Provos, pomieszczenie dadaizmu i aktywizmu politycznego. W latach 60. działalność Provos, miała głęboki rys antypolityczny, a anarchizujące korzenie nie odrywały ich od większości społeczeństwa: „wykluczali przemoc jako metodę swojej walki, zrezygnowali z rewolucjonizmu, popierając stopniowe, choć radykalne zmiany, mające przynieść poprawę jakości życia. (...) Domagali się zamknięcia centrum Amsterdamu dla samochodów i wprowadzenia wysokich kar dla fabryk zatruwających powietrze. Proponowali powołanie centrów dla kobiet służących im poradami na temat antykoncepcji, ingerencję państwa w spekulacyjny rynek nieruchomości i zalegalizowania squattingu...”¹ Kabutersi postanowili nie czekać na sprzyjające okoliczności i de facto rozpoczęli realizację tego programu. Proklamowali powstanie „państwa w państwie, otwarli własne sklepy, żłobki, przedszkola, szkoły, komuny produkujące żywność, fabrykę produkującą odzież, bazar. Podjęli próbę stworzenia własnej poczty. Prowadzili akcje okupacji ulic i dezorganizacji ruchu ulicznego w godzinach szczytu, chcąc w ten sposób zmusić władze Amsterdamu do utworzenia strefy wolnej od ruchu wszelkich pojazdów. Wreszcie skłotowali budynki, aby osiedlić w nich bezdomnych. W wyborach do samorządu w Amsterdamie zdobyli 5 z 45 mandatów, co oznaczało poparcie 11% mieszkańców².

Podobnego typu działania o różnym zasięgu, odwołujące się do demokracji uczestniczącej, miały miejsce w np. w Danii, Wielkiej Brytanii, czy USA. W Ameryce koncepcje wolnościowego municypalizmu (będącego zaprzeczeniem municypalizmu kapitalistycznego) formułuje Murray Bookchin. Wychodząc od anarchistycznych założeń, dowodzi, że żadna duża grupa społeczna nie może działać bez instytucji demokratycznych umożliwiających

¹ Marek Tobolewski, „Provo - katorzy”, Nowy Robotnik, 4/2005

² Na podstawie: Antoni Malinowski, „Mit wolności. Szkice o anarchizmie”, Warszawa 1983, s. 75-76 oraz Janusz Janicki, „Lewacy”, Warszawa. 1980, s. 73-74.

podejmowania skutecznych decyzji. Wychodząc z tego punktu widzenia Bookchin opowiada się za udziałem ruchu anarchistycznego w akcji politycznej na szczeblach lokalnych, natomiast przeciwstawia się udziałowi w wyborach ogólnokrajowych (sprawa ta podzieliła Kabutersów i doprowadziła do upadku ruchu). Twierdzi, że włączenie się w ten sposób w życie społeczne gminy nie oznacza jednoczesnego czynnego wspierania organów władzy państwowej, tak jak założenie anarcho-syndykalistycznego związku zawodowego w zakładzie pracy nie wymaga włączenia się do kapitalistycznej formy produkcji³. Na pytanie na jakich zasadach można włączyć się w proces politycznej działalności na szczeblu lokalnym, odpowiada koncepcja tzw. „budżetu partycypacyjnego”. Budżet partycypacyjny oznacza, że wszyscy mieszkańcy i na równych prawach biorą udział w formułowaniu budżetu miasta (gminy), w tym także wydatków inwestycyjnych, poprzez ustanowienie odpowiedniej procedury decyzyjnej. Jest on zatem także uspołecznieniem procesów planowania przestrzennego. Pomysł ten najbardziej znany jest z doświadczeń brazylijskich - z miasta Porto Alegre.

Od początku lat 90. w mieście tym (liczącym 1,3 mln. mieszkańców) władze lokalne, każdego roku przeprowadzają procedurę wspólnego tworzenia budżetu miasta. Wszyscy mieszkańcy, którzy ukończyli 16 lat, są uprawnieni do udziału w zgromadzeniach sąsiedzkich, zgłaszania pomysłów i głosowania. Informacje o zebraniach sąsiedzkich są ogłaszane przez radio, telewizję, za pomocą plakatów, a nawet jeżdżących po mieście samochodach wyposażonych w głośniki. Powstała również sieć punktów informacyjnych, gdzie mieszkańcy są informowani o procesie budżetu partycypacyjnego. W pierwszym roku jego funkcjonowania, pracownicy administracji chodzili „od domu do domu” namawiając do udziału w zgromadzeniach. W zebraniach tych mieszkańcy wyrażają swoje poglądy i oczekiwania względem polityki mieszkaniowej, ochrony zdrowia, rozwoju infrastruktury, itd., a następnie wybierają delegatów. Delegatów w mieście wybierają także różne stowarzyszenia, związki zawodowe, itd. Delegaci ostatecznie ustalają priorytety budżetowe i informują o ustaleniach zgromadzenia sąsiedzkie. Początkowo we współzarządzaniu Porto Alegre brało udział jedynie kilkaset osób, potem 3 tys. a w 2001 roku liczba uczestników zgromadzeń wzrosła do 50 tys. Sondaże opinii publicznej wskazują, że 80 proc. ankietowanych uważa nową formę demokracji za „dobrą rzecz”⁴.

Budżet partycypacyjny, kojarzony z politycznym radykalizmem, został uznany podczas konferencji ONZ Habitat II w Stambule w 1996 roku, na której otwarcie podjęto także problem bezdomności, za nowatorską formę demokracji wartą polecenia całemu światu. W Brazylii również inne miasta postanowiły wprowadzić budżet partycypacyjny (San Paulo, Belo Horizonte), a nawet całe regiony jak Rio Grandę do Sul. Pomysł przyjął się także w niektórych miastach czy regionach Ameryki Północnej (Kanada), Europy: Manchester (Wielka Brytania) czy San Feliu de Llobregat (Hiszpania), i we Francji.

Podobnego typu działania władz lokalnych mają miejsce w trzech podparyskich miejscowościach: Babigny, Sant Denis, Ivry, jak i samym Paryżu. Na przykład w Ivry (gminie

³ Rafał Górski, „Demokracja uczestnicząca w samorządzie lokalnym”, Poznań-Kraków 2003, s. 38

⁴ Rafał Górski, tamże, s. 14-23

liczącej 51 tysięcy mieszkańców) każdego roku kilka tysięcy mieszkańców bierze udział w organizowanych dyskusjach na temat rozwoju i budżetu gminy, i działania władz lokalnych wspiera także 270 lokalnych stowarzyszeń, do których należy 16 tysięcy osób. Gmina określa swoją misję jako: „politykę socjalną dla wszystkich”. Dysponując już 6 tys. mieszkań i komunalnych władza za priorytet uważa konieczność zapewnienia odpowiedniego lokum dla jeszcze ok. 4 tys. mieszkańców gminy. Burmistrz Sant Denis stwierdził, że jego samorząd za priorytet uznał „aby dać ludziom prawo głosu i pozwolić brać udział w życiu publicznym i w podejmowaniu decyzji”. Jest to zgodne z poglądem Ch. Jencksa, który na zakończenie swojej książki „Ruch nowoczesny w architekturze” stwierdza, że architektura budząca zaufanie, musi znaleźć poparcie „w ludowej rewolucji, która kończy się w wiarygodnej formie życia publicznego w systemie rad”. Zatem demokracja uczestnicząca i budżet partycypacyjny jest końcem tego procesu?

Pytanie nie wydaje się bez sensu z uwagi na to co się stało w Porto Alegre. Po 16 latach rządów w tym mieście Partii Pracowników (PT), która wprowadzała zasady budżetu partycypacyjnego, przegrała w 2004 roku wybory municypalne. Znamienne, że nastąpiło to w dwa lata po zwycięstwie lidera PT, L I. da Silvy zwanego „Lulą” czy też „brazylijskim Wałęsą”, w wyścigu o fotel prezydencki. Po początkowym aplauzie i nadziejach jakie ta wygrana wywołała wśród szerokich rzesz społeczeństwa brazylijskiego, po pierwszych zapowiedziach i rezygnacji z zakupu myśliwców wojskowych od Stanów Zjednoczonych i przeznaczeniu tych środków dla najbiedniejszych, „Lula” zawiódł i jak pisze Zbigniew Marcin Kowalewski - odwrócił się plecami do swojej robotniczej, chłopskiej i plebejskiej bazy. Znalazło to natychmiast rezultat w postaci przegranej PT w wyborach samorządowych Kowalewski twierdzi, że czarne chmury nadpartycypacją w tym mieście zbierały się od 2000 roku, kiedy to władzę w PT przejęli politycy przedkładający biurokrację nad demokrację. Lecz czynnik ten jest według niego jednym z kilku, które zadecydowały o przegranej w Porto Alegre. „Drugą było to, że „budżet partycypacyjny” wyczerpał swoje lokalne możliwości, co było nieuchronne. „Czegoś takiego - pisze dalej Kowalewski - nie sposób utrzymać w jednym mieście, podczas gdy gospodarka narodowa i państwo działają na neoliberalnych zasadach kapitalistycznych. Państwo neoliberalne umywa ręce zrzucając swoje obowiązki na barki samorządów, a wtedy lokalna demokracja partycypacyjna musi skończyć się... redystrybucją ubóstwa”⁵

Partycypacja może zatem okazać się znaczącym, ale tymczasowym sukcesem wolnościowego ruchu w mieście. Oczywiście w obecnym systemie demokracja uczestnicząca nie zdoła przełamać wszelkich barier, wynikających z politycznych i gospodarczych ograniczeń. Większość dzisiejszych samorządów lokalnych dysponuje nieporównanie mniejszymi środkami od władz państwowych. W Brazylii gminy zawiadują 14-16% wszystkich środków publicznych, w Polsce ok. 27% (cały samorząd wraz ze wszystkimi powiatami i województwami ok. 33%). Jasny stąd wniosek, że większość pieniędzy uzyskanych z podatków (to np. blisko 90% wszystkich wpływów budżetu państwa) pozostaje w dyspozycji wyalieno-

⁵ Zbigniew Marcin Kowalewski, „Drogą Luli czy Chaveza”, w „Nowy Robotnik”, nr 11/2004, grudzień 2004.

wanych elit politycznych, biurokracji i korupcyjnych układów. Jeżeli w takich warunkach obywatele oddolnie odzyskują wpływ na strukturę budżetu lokalnego, to i tak, w skali całego państwa, ponad 60% środków w dalszym ciągu leży w gestii rządu centralnego. W tym kontekście może bardziej czytelne są tezy o tym, iż „budżet partycypacyjny” w obecnych warunkach to „redystrybucja ubóstwa” i że w takim systemie „nędza mieszkaniowa nie jest przypadkiem, ale konieczną instytucją, a usunięta być może (...) tylko pod warunkiem, że cały porządek społeczny, z którego się ona rodzi, zostanie gruntownie przeobrażony”⁶. „W dniu kiedy wywłaszczenie zostanie dokonane - pisał Kropotkin - kiedy domy przestaną być własnością prywatną, robotnicy i wszyscy wyzyskiwani zrozumieją (...) że równość przestała być pustym dźwiękiem, zrozumieją, że rewolucja stała się faktem, a nie komedią pozorów, jaką zazwyczaj była dotąd”⁷. W „Zdobyciu chleba” dokonuje on w zasadzie podobnej krytyki i analizy sytuacji jak współcześnie działająca grupa anarchistyczna z Lyonu. Grupa Anarchistyczna im. Durrutiego w tekście, który ukazał się w maju 2000 roku w „Le Monde libertaire” zaatakowała zarówno municypalizm Bookchina, jak też budżet partycypacyjny stwierdzając, że włączenie obywateli w proces decyzyjny na szczeblach samorządowych ma w tym przypadku na celu stłumienie i skanalizowanie protestów społecznych. Przyjęcie koncepcji municypalizmu wolnościowego oznaczałoby przeniesienie walki z przedsiębiorstwa do miasta, „Z tej perspektywy nasze dążenia powinny iść w kierunku poprawy jakości życia i stworzenia przestrzeni dla wspólnoty gminnej. Akcent jest zatem położony na pojęcie więzi społecznych... (...) Byłoby jednak przesadą widzieć w tym postępowaniu wyraźny krok do przodu w kierunku prawdziwej demokratyzacji życia publicznego oraz autentycznej decentralizacji. (...) W imię pragmatyzmu i pracy w terenie, w „wiosce jutra”, będziemy musieli porzucić całą ideę radykalnej transformacji społeczeństwa by móc zaangażować się w projekt”. Tymczasem nie ma samoorganizacji społecznej bez równości ekonomicznej i socjalnej; nie może być mowy o lokalnej autonomii przy jednoczesnym wzroście ubóstwa. „Nie możemy nie dostrzegać, że samorządy powinny być ściśle powiązane z równością ekonomiczną i społeczną”⁸.

A zatem najpierw rewolucja społeczna i wywłaszczenie? Ale co miałyby to w zasadzie oznaczać we współczesnym, zróżnicowanym społeczeństwie, gdzie udział wielkoprzemysłowej klasy robotniczej jest dalece mniejszy? Jak te koncepcje przełożyć na praktykę dnia codziennego bez prób powiązania walki ekonomicznej z wolnościowym municypalizmem? Ruch samowolnego osadnictwa jest odpowiedzią na problemy mieszkaniowe i warunki życia w mieście i kiedy już poszczególne jego akcje (projekty) nabierają określonego kształtu musi on wypracować wiarygodne formy uczestnictwa demokratycznego, choćby na miesiąc, rok, czy 10 lat; pomimo trwającego „na zewnątrz” systemu wyzysku i nierówności. Niepowodzenia są częścią jego doświadczenia i procesów, które uruchamia. Jak się okazało pomimo przegranej w wyborach lokalnych Partii Pracowników, budżet partycypacyjny w Porto Alegre dalej jest realizowany, Wywołany kilkanaście lat temu ruch społeczny nie

⁶ Fryderyk Engels, „O kwestii mieszkaniowej”, w: K. Marks, F. Engels, „Dzieła”, t. 18, Warszawa 1969, s. 260 - 261

⁷ Piotr Kropotkin, „Zdobycie chleba”, Warszawa 1925, s. 66

⁸ Rafał Górski, „Demokracja uczestnicząca w samorządzie lokalnym”, Poznań-Kraków 2003, s. 46-49

zamart i tym razem sami mieszkańcy realizują, wbrew poglądom obecnie sprawującego urząd burmistrza, tę formę demokracji uczestniczącej.

Rozdział 5. Czy (wolna) architektura istnieje?

Bauhaus i wspólnota cechu. Ogrody anarchii. Aalto kontra Le Corbusier. Architektura jako partycypacja. Droga Segala. Architektura monadyczna.

Czy pytanie o wolnej architekturę ma sens, skoro sami architekci pełni są wątpliwościami czy ona jeszcze istnieje? Czy najzdrowszym przejawem wolności w budowaniu jest jej zaniegowanie i zdanie się na ludzką absolutną spontaniczność, najdobitniej przejawiającą się w ruchach miejskich? Czy każdy, jak twierdził Hunderwasser, ma prawo budować? Kim dziś jest architekt? Jeżeli architekt jest wolnym artystą to co to znaczy w kategoriach anarchistycznych? Architekci, tacy jak Gaudi czy van de Velde, głosili niezależność wyobraźni artysty i byli zwolennikami ideologii twórczego indywidualizmu, choć jednocześnie sympatykami romantycznego socjalizmu i anarchizmu. Henry Van de Velde, był jednym z czołowych twórców i teoretyków secesji, podziwiał i propagował wypowiedzi Kropotkina, Stirnera czy Tołstoja. Jak pisze Ch. Jencks „średniowieczny „system cechowy był modelem dla socjalizmu Williama Morrisa”¹. Również Bauhaus, jak pisze, w swoim ekspresjonistycznym okresie od 1919 do 1923 roku miał nawiązywać do anarchizmu Proudhona. Jencks twierdzi, że założycielski manifest i program Gropiusa z 1919 roku brzmi jak skrzyżowanie cechowego socjalizmu, angielskiego ruchu Arts and Crafts i mutualizmu, i cytuje jego fragmenty: „Stwórzmy więc nowy cech rzemieślników bez różnic klasowych (...) pracującą społeczność (...) [której podstawą jest] udział studentów w pracach mistrzów (...) wspólne tworzenie rozległych, utopijnych projektów architektonicznych (...) zmierzających w przyszłość (...) w kontakcie z życiem publicznym, ze społeczeństwem, poprzez wystawy i inne formy działalności”. I jeszcze: „Nasze czasy odrzucają szacunek dla martwej maski organizacji, która nas oślepi i prowadzi na manowce. Znowu muszą zwyciężyć związki człowieka z człowiekiem i duch małych społeczności. Małe płodne społeczności, sprzysiężenia, bractwa (...) cechy budowlane, jak w złotym wieku katedr”². To ewidentne nawiązanie do wolnomularstwa (do loży note bene przynależał J-P. Proudhon) i średniowiecznej wizji, w jakiś sposób oddaje ducha ówczesnych (na przełomie XIX i XX wieku) dyskusji na temat roli artysty-architekta. „Łaska fantazji - pisze Gropius - jest ważniejsza niż wszystkie techniki, którym podporządkowuje się wola twórcza ludzi. Dzisiaj nie istnieją właściwie architekci; my wszy-

¹ Ch. Jencks, „Ruch nowoczesny w architekturze”, W-wa 1987, s. 70.

² Charles Jencks, tamże, s. 70.

scy jesteśmy tylko forpocztą tego, który zasłużył znów na miano ARCHITEKTA, czyli Pana całej sztuki, który z pustyni zbuduje ogrody i cudem spiętrzy w niebo”³.

Barcelońscy anarchiści, którzy podjęli problem planowania urbanistycznego i architektury miast również nawiązywali w sposób bezpośredni do cechowych ideałów średniowiecza i propagowali koncepcję miasta ogrodu zaszczerpioną na gruncie hiszpańskim przez Cebria de Montaliu w 1913 roku dzięki tłumaczeniu książki „Nauka obywatelska” Szkota Patricka Geddesa. Projekt miasta-ogrodu z szacunkiem miał się odnosić do przestrzeni niezurbanizowanych, cechować się racjonalnie zorganizowaną komunikacją i pełnym zaspokojeniem potrzeb wszystkich zróżnicowanych grup mieszkańców. Aby go zrealizować musiały zostać jednak spełnione pewne warunki społeczno-polityczne, przede wszystkim zniknięcie własności prywatnej gruntów, położenie kresu spekulacji gruntami i zakończenia rozbudowy miasta podporządkowanej partykularnym interesom osób zamożnych. Postulowano egalitarny system społeczny i samowystarczalność.

Zasada wspólnego tworzenia architektury i miast przeniknęła nie tylko Bauhaus, ale także pracownię innego otwarcie nawiązującego do anarchizmu, fińskiego architekta Alvara Aalto: „W mojej pracowni, twierdził, nie toleruje się żadnej zorganizowanej pracy zespołowej. Podstawą naszej pracy jest przyjacielska współpraca w rodzinnej atmosferze. Wszyscy moi współpracownicy są wykształconymi architektami, nie ma zwykłych kreślarzy; stąd swobodny styl pracy, za którą sam jestem odpowiedzialny, styl oparty nie na dyscyplinie, ale na wspólnym wysiłku”⁴. Jaki jest efekt tego „przyjacielskiego” zespołowego trudu? Twórczość Aalto charakteryzuje ściśle powiązanie budowli z krajobrazem i rzeźbą terenu, a także dynamiczne, rzeźbiarskie rozwiązania bryły budowli, swobodne, funkcjonalne ukształtowanie wnętrza, zróżnicowanie faktury materiałów. „Aalto zawsze opowiadał się za formą umiarkowanego humanizmu, przeciwstawiającego się powszechnym skrajnościom bezpłodnego racjonalizmu i napuszonego ekspresjonizmu” - pisze Jencks⁵, stwierdzając jednocześnie, że jego sztuka może być uznana za zaprzeczenie „krzykliwej” postawy Le Corbusiera.

Czy jednak wspólnota twórców-architektów jest wystarczającym argumentem przemawiającym za jej anarchistyczną treścią? Oczywiście nie. Być może jest to warunek konieczny ale z całą pełnością nie wystarczający. Również inne pracownie architektoniczne kierowały się zasadami konsensusu i pomocy wzajemnej, np. pracownia Le Corbusiera, który jednocześnie twierdził, że architektura zniesie konieczność przeprowadzenia rewolucji społecznej, a jego polityczne preferencje nigdy nie były jednoznaczne. Wychował się w rodzinie z tradycjami bakuninowskimi, na krótko zainteresował się anarchosyndykalizmem i koncepcjami miast-ogrodów do chwili kiedy nie uznał, iż ornament i ulice z licznymi zakrętami to, wobec linii prostej, przejaw degeneracji⁶. Wobec krachu nowoczesnej i funkcjonalnej architektury ta zapowiedź Le Corbusiera wydaje się dziś wyjątkowo nieadekwatna, tak samo zresztą jak mistyczne marzenia twórcy Bauhause („szklane katedry

³ P. Trzeciak, ‘Historia, psychika, architektura’, Wa-wa 1988, s. 173.

⁴ C. Jencks, „Ruch nowoczesny w architekturze”, W-wa 1987, s. 205.

⁵ Charles Jencks, tamże, s. 204.

⁶ C. Jencks, „Le Corbusier tragizm współczesnej architektury”, W-wa 1982.

przyszłości”). Trzeba zaznaczyć, że również hiszpańscy planiści związani z ruchem anarchistycznym tkwili głęboko w doktrynie architektury funkcjonalnej. Jeszcze przed wybuchem rewolucji hiszpańskiej (1936-1939) robotnicy z barcelońskiego CNT (Narodowa Konfederacja Pracy) i architekt- anarchista Alfonso Martinez Rizo mieli opracowaną propozycję przebudowy miasta. W myśli tej chodziło o zdecentralizowanie miasta w ten sposób, by napełnić go powietrzem i słońcem i raz na zawsze skończyć z rozdziałem miasta od wsi oraz osiągnąć syntezę obu środowisk, poprzez nawiązanie do idei miasta-ogrodu. W podobnym duchu wypowiadał się też Le Corbusier. Być może novum i wyróżnikiem wolnej architektury, miało być to, iż projekt ten miał być konsultowany z różnymi grupami mieszkańców. Niektórzy architekci podnosili kwestię konieczności poszerzenia „zespołu projektowego”.

W roku 1969 belgijski architekt Lucien Kroll został poproszony o zaprojektowanie w sąsiedztwie Kliniki Uniwersyteckiej w Brukseli tzw. „Strefy Socjalnej”, miasteczka „La Merne” dla studentów medycyny Uniwersytetu w Louvain (przedmieścia Brukseli). Studenci i zespół Krolla byli zupełnie zgodni co do tego, że opracowanie architektury powinno odbywać się przy współudziale jej przyszłych użytkowników. Program osiedla miał objąć mieszkania dla studentów, urządzenia rekreacyjne, stołówkę dla studentów i personelu, szkołę dla dzieci studentów, kluby i kawiarnie. Studenci połączeni w grupy o zmiennym składzie brali udział w projektowaniu budynków razem z Krollem, przygotowując makietę całości. Gdy wybuchały nieporozumienia (np. jedna grupa popadała w dogmatyzm i upór), Kroll starał się reorganizować zespół tak, by wszyscy mogli zapoznać się ze wszystkimi problemami, aż pojawiło się jakieś rozwiązanie. Dopiero wtedy rysował plany i przekroje, na podstawie których można było rozpocząć budowę. Na głównym placu osiedla można też zobaczyć wkład robotników budowlanych w projekt. Stworzył, coś w rodzaju skały, która rośnie zmieniając się w cegłę, a w górnych partiach elewacji budynku w płytki licujące. Efekt końcowy przedsięwzięcia sprawiał wrażenie „gąbczastej” struktury, w której przenikają się przestrzenie o różnych funkcjach indywidualnych. Jest to architektura systemu otwartego, „żadne miejsce nie jest ważniejsze od innego” stwierdził Kroll. Różne funkcje budynków podkreślono różnymi systemami budowlanymi. Użyto szkła, drewna, cegły, plastiku, aluminium i betonu, nie zabrakło dwuspadowych dachów i patia wyznaczających bardziej prywatne obszary. Władze uczelniane nie kryły swej dezaprobaty dla rezultatów. Stwierdziły, że osiedle stało się obrazem dezintegracji funkcji i formy. To wtedy użyto określenia „anarchitekt” („anarchizm” plus „architektura”). Narzekano też na przekroczenie limitów finansowych i powolne tempo realizacji. Po tym jak w 1974 roku oddano do użytku trzy akademiki, w tym jeden ze szkołą i kawiarnią oraz stołówkę, realizację dalszej części wstrzymano, a następnie powierzono innemu zespołowi autorskiemu.

Inną znaną realizacją idei współpracy projektantów i użytkowników było osiedle robotnicze „Byker Wall” Ralphi Erskine’a w Newcastle w Anglii (lata 1969-1981). Teren ten o powierzchni 81 ha, opadający południowym stokiem do rzeki Tyne zajmowały domy szeregowe o bardzo niskim standardzie. Władze miejskie postanowiły zlecić opracowanie urbanistyczno-architektonicznej koncepcji przebudowy Ralphiowi Erskine’owi, Szkotowi wychowanemu w szkole kierowanej przez Kwaków. Od niego pochodziła ogólna koncep-

cja osiedla, wybór środków formalnych i rozłożenie akcentów plastycznych. Erskine każdy swój pomysł poddawał krytycznemu osądowi przyszłych mieszkańców. Uznał również, że mają oni prawo wybrać sobie lokalizację, plan mieszkania i sąsiadów. Dzięki temu dziewięciotysięczna społeczność osób zmuszona do przeprowadzki nie rozpadła się, co więcej, zorganizowała własny samorząd. Erskine zaczął od urządzania swojego biura na przebudowywanym terenie, w dawnym zakładzie pogrzebowym. Aby zachęcić ludzi do odwiedzin, połączył biuro projektowe z biurem rzeczy znalezionych, oraz punktem porad ogrodniczych i sprzedaży roślin i kwiatów. Potem nastąpiły niekończące się dyskusje i częściowe ustalenia. Udało zachować się kilka ważnych budynków - kościół, salę gimnastyczną i parę mniejszych obiektów. Zburzone części budynków i ich ornamenty zostały wbudowane w nowe obiekty. Bardzo istotnym etapem było nie na początku małego fragmentu osiedla - Janet Square (1971-72) według ustalonych z mieszkańcami i założeń i poddanie go wspólnej, publicznej ocenie i dyskusji. Każdy dom ma przestrzeń prywatną i otoczony jest przestrzenią półprywatną: ogródkami i wąskimi chodnikami. Tym co łączy Byker Wall i akademiki Krolla jest efekt imitacji naturalnej złożoności stopniowo formującego się środowiska. Mamy tu do czynienia z pluralizmem typowym dla najstarszych, historycznych dzielnic miasta. To co wynika zwykle z mniejszych i większych zmian wprowadzanych przez kolejne pokolenia mieszkańców, tutaj stało się założeniem wyjściowym.

Na zmianę swego statusu zdecydowali się niektórzy architekci pracujący w ramach programu ALTBAU (odnowy istniejącej substancji mieszkalnej) w Berlinie Zachodnim. Żądania mieszkańców tego miasta doprowadziły do stworzenia programu IBA (Międzynarodowej Wystawy Budowlanej) zakładającej wielkie przebudowy i wznoszenie nowych domów. Ustawę autoryzującą IBA uchwalił Senat Berlina Zachodniego. Jedną z ciekawszych realizacji jest plomba przy Admiralstrasse, zwana Wohnregal (regał do mieszkania) z 1986. Architekci Nylund, Puttfarken i Sturzebecher przewidzieli podstawową nośną konstrukcję żelbetonową w formie ramy i płyt stropowych, a następnie wynaleźli specyficzny system wypełniającej konstrukcji drewnianej. Umożliwiały one mieszkańcom bez budowlanych kwalifikacji wzniesienie własnych elewacji, ścianek działowych i balkonów zgodnie z własnymi upodobaniami. Autorzy nałożyli na elewację metalową siatkę, organizującą fasadę i służącą jako konstrukcja dla skrzynek na kwiaty. Całość sprawia wrażenie rusztowania, jak gdyby budowa ciągle trwała.

Doskonałym przykładem architektury partycypacyjnej jest blok mieszkalny w szwedzkim mieście Malmö (1991), gdzie współdziałali ze sobą architekt Ivo Waldhor, przyszli mieszkańcy, instytut mieszkalnictwa oraz inwestor. Powstał pięciokondygnacyjny blok złożony z indywidualnych jednostek mieszkalnych - każda ukształtowana według preferencji danej rodziny. Mieszkańcy nie mieli poprzednio doświadczeń w projektowaniu, stąd wszyscy pragnęli wprowadzać zmiany aż do momentu ukończenia budowy. Ta elastyczność spowodowała duże opóźnienia, za to mieszkańcy byli zadowoleni. Niektóre elementy okazały się być nieekonomiczne - w szczególności ściany działowe, kuchnie i łazienki w różnych pionach - jednak interwencja architekta pozwoliła przynajmniej na utrzymanie ograniczonej liczby okien oraz innych detali. Na zewnątrz zróżnicowane wnętrza sygnalizowane jest przez indywidualnie malowane okna i drzwi. Zasługą Waldhora jest ukształto-

wanie różniących się mieszkań w jeden harmonijny budynek, za pomocą takich cech jak zielony cokół i sposób traktowania dachów.

Idee partycypacji próbowano zaszczerpić w Indiach. Projekt B.V Doshi dla Aranya Township pod Indore (1982) objął ulice, domy, sklepy i bank materiałów budowlanych zaopatrujący właścicieli. Stworzono specjalny ośrodek edukacji budowlanej oraz zakłady przemysłu lekkiego, aby uzyskać samowystarczalność ekonomiczną mieszkańców (40 tys.). Każda działka posiadała rdzeń infrastruktury (toaleta i łazienka) plus jeden pokój czyli podstawowy zakres projektu, do którego mieszkańcy mogli dobudowywać co chcieli. Bank materiałów sfinansowano z zysków ze sprzedaży największych działek dla osób zamożnych. Dzięki temu ceny działek dla rodzin o niskich dochodach zredukowano do odpowiednio niskich cen.

Partycypacja potencjalnych użytkowników (czy robotników budowlanych) w projekcie architektonicznym wcale jednak nie oznaczała samowolności. Lucien Kroll nigdy nie zgodził się z poglądem, że brukselskie akademiki stanowią efekt przypadkowego pozlepienia szczątków. W artykule "De Soft Zone" napisał "Nie wierzę, że uczestnicy mogą wyłonić z siebie spontaniczne zespoły [...] animator jest niezbędnym", niech tylko pamięta, że - "architektura musi być tworzona nie dla, ale w imieniu mieszkańców. Schody i przejścia są odwzorowaniem ścieżek rodzinnych lub przestrzeni zamieszkałych przez zwierzęta". Architektura ta zakłada, że każdy mieszkaniec jest "osobą różną od sąsiada i chce odzwierciedlać tę różnorodność"⁷.

Dalej w swej koncepcji architektonicznej poszedł Walter Segal, którego Marcin Mateusz Kołakowski nazywa jednym z najznamienitszych wirtuozów architektury pomocy wzajemnej (doceniając jego mutualistyczne osiągnięcia). Urodzony w 1907 roku Segal poszukiwał techniki, która z jednej strony byłaby tania, a z drugiej pozwalała budować w sposób łatwy. Metodę tę opracował wspólnie z dwoma wędrownymi cieślami, a jego budynki są oparte na metodzie szkieletowej z precyzyjnym wyliczeniem potrzebnego materiału, celem zaoszczędzenia środków. Pierwszy budynek powstał na początku lat 60., kiedy Segal zaprojektował dom dla własnej rodziny. Na tego typu „skromne budownictwo” nikt jednak wówczas nie zwracał uwagi. Dopiero na początku lat 70. metodą Segala zainteresował się Nicholas Taylor, architekt i jednocześnie (w 1975 roku) burmistrz dzielnicy Londynu - Lewisham. Spowodował on, że Segal mógł swoje plany wcielić w życie. W 1976 roku 78 rodzin mogło nie tylko partycypować w budowie na poziomie projektowania, ale także wykonać większość prac, oraz samodzielnie dostosować dom do własnych wymogów. Dla wzniesienia osiedla potrzebna w tym względzie była sąsiedzka samopomoc. Mieszkańcy w połowie pokrywali także koszty projektu.

Kolejna większa realizacja powstała też w Lewisham w 1977 roku „Sąsiedzka pomoc” - pisze Kołakowski - zainicjowana przy budowie trwa do dziś i sprawia, że Watres's Way jest niezwykle ciekawym miejscem. Z biegiem czasu mieszkańcy zdążyli się wyspecjalizować: jedni umieją doskonale montować nowe okna, inni stawiają ściany, jeszcze inni dachy. Każda

⁷ W części rozdziału dotyczącej architektury partycypacyjnej skorzystałem z obszernych fragmentów artykułu R Górskiego „Anarchitektura”, umieszczonego w bezdebitowym piśmie „A -tak”, nr 6 z 2002r.

większa przebudowa jest wydarzeniem dla miniaturowego osiedla i nierzadko angażuje kilka rodzin. Segal zmarł w 1985 roku, lecz po jego śmierci powstało „Stowarzyszenie Samobudowania Waltera Segala”, które kontynuuje jego idee. Z inicjatywy stowarzyszenia powstała np. Afrokaraibska Grupa Budowlana, która tworzy małe osiedla na terenie Londynu „Mieszkańcy zdecydowali w czasie projektowania, że na swoim osiedlu niechcący dróg kołowych, gdyż w ten sposób będą mogli stworzyć bezpieczne miejsca dla zabawy swoich dzieci. Barwna niska zabudowa wygenerowała piękne, przytulne miejsca, gdzie spotykają się idee Waltera Segala i Boba Marleya”⁸. Stowarzyszenie wspierało też działalność bezdomnych. Kołakowski pisze, że Segal wierzył głęboko w rewolucję architektury, która nie będzie odnosić się do technicznych nowinek, lecz do faktycznego, ludzkiego życia. Najważniejsze są w jego koncepcji trzy aspekty tak rozumianego budownictwa: po pierwsze mieszkańcy poprzez swoją pracę wiążą się z miejscem w sposób silniejszy niż w przypadku innych typów budownictwa. Dwa: proces ten rozbudza świadomość miejsca wśród mieszkańców. Po trzecie, budynki są wprawdzie podobne, ale nigdy takie same, co tworzy równowagę pomiędzy indywidualizmem, a wspólnotowością.

Kołakowski tropiąc wszelkiego rodzaju przejawy politycznego zaangażowania i wolnościowych aspiracji myśli architektonicznej, w swojej publicystyce poświęca sporo miejsca tzw. „architekturze monadycznej”, przeznaczonej dla ludzi bezdomnych. Niektórzy krytykują że działania takie czasami idealizujące „życie trampa” - służą jedynie tymczasowemu załatwieniu sprawy, a nie ostatecznemu rozwiązaniu kwestii mieszkaniowych. Pomijając dyskusję czy takie ostatecznie rozwiązanie jest możliwe, Kołakowski w pierwszym rzędzie udowadnia, że twórczość taka ma sens, bowiem skutkuje ona projektami niezwykle ważnymi w przypadku konieczności szybkiego i taniego zabezpieczenia dachu nad głową np. ofiarom kataklizmów (w grupie tej wymienia projekty np. Sean Godsell Architects).

„Architekturę nomadyczną” tworzy grupa N55. która w oryginalny sposób stara się połączyć swoje prace z aktywizmem społecznym. Po pierwsze twierdzi, że prawa poszczególnego człowieka są zagrożone przez koncentrację władzy; decydującym zadaniem współczesności wyznają powinno stać się szukanie sposobów na życie, które w minimalny sposób się do tego przyczyniają. Ale jak można samemu, czy w małej grupie, realizować cele przeciwstawne maszynie współczesnej ekonomii? - pyta Kołakowski⁹. Budynki mieszkalne są najczęściej symbolem statusu społecznego, a nie konsekwencją realnych potrzeb; mają wyznaczać miejsce właścicieli w strukturze społecznej i z tego też powodu są szkodliwe tak dla ludzi, jak środowiska naturalnego To marnotrawstwo, a grupa N55 próbuje znaleźć antidotum. Zaprojektowali, skonstruowali, a obecnie zamieszkują obiekt, który można demontować i może on stać w różnych miejscach. Zrealizowali także „dom ślimaczy”, obiekt w stu procentach mobilny. Dodatkowo grupa N55 wierzy w potrzebę wolnej wymiany myśli technicznej i nie bierze opłat za swoje projekty i wiedzę; nie opatentowuje swoich

⁸ Marcin Mateusz Kołakowski, tamże

⁹ Marcin Mateusz Kołakowski, „Re(e)wolucyjny krok ku wodzie”, A & B Architektura i Biznes, nr 10/2004

pomysłów, bo byłaby to, ich zdaniem, kolejna koncentracja siły. Ich projekty są dostępne w internecie.

Część architektów tworzy rozwiązania „przenośne” bezpośrednio z myślą o bezdomnych i we współpracy z nimi, jak Michael Rakowitz, który zaprojektował serię nadmuchiwanych obiektów. Była to jego odpowiedź na represyjną politykę R. Giuliani, burmistrza Nowego Jorku, o której pisałem wcześniej. Również Krzysztof Wodiczko i Martin Ruiz de Azua tworzą obiekty współpracując z ludźmi pozbawionymi dachu nad głową. W Stanach Zjednoczonych powstała też grupa „Mad Housers” („Zwariowani budowniczowie”). To majsterkowicze, architekci i budowlańcy wolontariusze, którzy postavili sobie za cel pomoc bezdomnym. Ich domy zlokalizowane są najczęściej w miejscu, gdzie dotychczas „mieszkał” bezdomny, a projekt jest dostosowany do jego potrzeb. „Ktoś powie - piszą „Mad Housers” - że zbyt ułatwiamy życie bezdomnym budując im schronienie. Uwierzyć nam, nawet z tym domem życie bezdomnego to nie piknik. Te budyneczki to narzędzie, by pomóc im przeżyć. Problem bezdomności jest zbyt wielki, by rozwiązała go grupka wolontariuszy. Lepiej jednak robić coś, niż nie robić nic. Naszym celem jest jedynie poprawienie sytuacji przynajmniej konkretnych jednostek i to wszystko, co możemy zrobić”¹⁰.

Architektura żywa.

W Polsce najlepszym bez wątpienia przykładem architektury i urbanistyki zaangażowanej jest Pracownia Architektury Żywej, której początki sięgają pierwszej połowy lat 80. Uczestniczącej w grupie osoby podejmowały problemy dotyczące kwestii społecznych, ale przede wszystkim związane ze środowiskiem naturalnym twierdząc, co stanowi pierwszą zasadę PAŻ że architektura winna pozbyć swojego antropocentryzmu i być bardziej wyczulona na kwestie ekologiczne. Wypowiadając się w tym duchu animatorzy Pracowni odwoływali się do, przeżywającego wówczas swój rozkwit, ekozofii i ekologii głębokiej. W przeciwieństwie jednak do wielu przedstawił tego nurtu z Zachodu, krytykowanych przez Murry Bookchina, który uważał „ekologię głęboką” za rodzaj ideologii klasy średniej dobrej dla yuppies, PAŻ nie porzuciła swego społecznego, a nawet politycznego, dyskursu. W pracy Andrzeja Korbela, najlepiej znanego przedstawiciela PAŻ, pt. „Ekozofia urbanistyki” znajdziemy odniesienia zarówno do Jane Jacobs i jej krytyki modernistycznej architektury funkcjonalnej, jak też do Lucien Krolla i Ralfa Erskina’a i ich doświadczeń z zakresu architektury partycypacyjnej. Drugim aspektem, na który silny nacisk kładzie Korbel w odniesieniu m.in. do działań Krolla i Erskina to tworzenie architektury „na miejscu”. Twórca musi żyć w otoczeniu na które chce oddziaływać (minimum otwierając tam swoje biuro projektowe). „Twórczym urbanistą nie musi być ten który wymyśla nowe, „idealne miasto.”, zwłaszcza jeżeli mieszka wiele kilometrów od niego. „Im bardziej wszyscy uczestnicy procesów są „u siebie” i angażują swą aktywność „dla siebie”, tym bardziej absurdalne są wszelkie dylematy kontroli i nadzoru”¹¹. To natura współczesnego społeczeństwa sprawia, że w miejscach zamieszkania pojawia się syndrom braku zaufania, który możemy rozwią-

¹⁰ Marcin Mateusz Kołakowski, „Miejska rewolucja wolnych ludzi”, A & B Architektura i Biznes, nr 5/2004

¹¹ Andrzej Janusz Korbel, „Ekozofia urbanistyki”, Gliwice 1988, s. 23

zać jedynie dzięki idei międzyludzkiej solidarności. Właśnie procesy oparte na kontroli i nadzorze odwlekają tylko nieuchronny konflikt społeczny i kryzys ekologiczny, twierdzi Korbel.

Dla Korbela modelem ludzkich wzajemnych powiązań, „praktyki pracy i działania jest idea „sieci”. Praktyka sieci jawi mu się jako alternatywa wobec konwencjonalnych instytucji będących w służbie „tronu i biznesu”, które przybierają wzór piramidy, są zcentralizowane i zhierarchizowane, oraz zawsze są w jakimś stopniu mechanizmem przejawiania się siły i władzy na innych. Przeciwnie sieć: „Jej centrum jest wszędzie, a prowincja nigdzie. Działanie w sieci oznacza, że jakaś liczba niezależnych, równych i zwykle niedużych grup łączy się by się dzielić wiedzą, praktykować solidarność i działać wspólnie równocześnie na wielu poziomach. Sieć wyraża wewnętrzną siłę. Opierając się na motywacjach moralnych (...) jest wyrazem współpracy, a nie współzawodnictwa. Jej istotą jest porozumienie. Nie zajmuje się jakąś szczególną koordynacją. Kierownictwo, jeżeli jest potrzebne, jest sprawą chwilowej umowy i zmienia się”¹². Kluczem do dobrej przestrzeni jest „dobry samorząd jej mieszkańców, a kluczem do dobrego projektowania jest projektowanie dla siebie”. I dalej argumentuje Korbel: „Z pojęciem projektowania dla siebie wiąże się niedoceniany często aspekt moralny podejmowanych decyzji. Człowiek, decydujący o swoim losie, znacznie częściej odwołuje się do intuicji czyniąc to z większym przekonaniem, a jego zapytania są głębsze niż gdy decyzje te związane są z losem innych ludzi.”¹³

Współczesna architektura i urbanistyka realnego socjalizmu i kapitalizmu jest wg Korbela wyrazem tendencji przeciwnych od postulowanych przez PAŻ, poprzez fakt wyrzykowego postrzegania problemów i podporządkowywania planów przestrzennych idei jakiś wyższych celów, określanych w sposób dość problematyczny. Postępując w ten sposób planiści często uzyskiwali efekty przeciwne do zamierzonych. „Przypomnijmy, że idea miasta-ogrodu, postulująca izolację od źródeł zanieczyszczeń za pomocą pasów zieleni, doprowadziła pośrednio do zwiększenia zanieczyszczeń, gdyż zamiast likwidować źródła, wymyślano strefy ochronne...”¹⁴; na co już wcześniej - jak zaznacza Korbel - zwróciła uwagę właśnie Jacobs. „Zadaniem architekta nie jest wymyślanie, ani odciskanie swojego piętna. Jego zadaniem jest poznawanie procesów miejsca, uczestniczenie w nich, należenie do nich (to nie miasto należy do nas, lecz my do miasta; nie natura do nas, lecz my do natury). Jego zadaniem jest określenie zdrowia i choroby przestrzennego organizmu kulturowego i ewentualna ingerencja tam, gdzie jest on chory. (...) Architekt powinien pracować tam, gdzie istnieje sytuacja zagrożenia środowiska lub gdzie środowisko jest zdegradowane. Tam, gdzie zagrożenia nie ma, architekt jest niepotrzebny. Kształtowanie jakości życia nie może oznaczać autostrad, parkingów, rozrywki i luksusu dla człowieka”.¹⁵

Korbel będąc krytycznie nastawionym do rzeczywistości planowania w socjalizmie, zaraz po transformacji ustrojowej w nowym systemie widział ogromne zagrożenia dla śro-

¹² „Zielona Antologia”, Gliwice 1989, s. 68

¹³ Andrzej Janusz Korbel, „Ekozofia urbanistyki”, Gliwice 1988, s. 19-20

¹⁴ Andrzej Janusz Korbel, tamże, s. 13

¹⁵ Andrzej Janusz Korbel, „Praca architekta w sytuacji zagrożonego środowiska jako element kształtowania jakości życia”, w: „Zielona Antologia”, Gliwice 1989, s. 93-94

dowiska naturalnego. W liście otwartym do architektów polskich w 1990 r. pisał: „Czas kryzysu i tworzenia się wolnorynkowej, kapitalistycznej gospodarki nie sprzyja ratowaniu środowiska przyrodniczego. Architekt pracujący za pieniądze inwestora lub ośrodka decyzyjnego może po prostu wypełnić jego polecenie sprzedając swój towar - projekt. To jednak za mało. Potrzebujemy nowej etyki zawodowej. Nie etyki lansowania swoich grupowych interesów, lecz „etyki środowiska życia”. Żadna wartość estetyczna, finansowa, polityczna, ekonomiczna czy branżowa nie może być realizowana kosztem życia, rozumianego znacznie szerzej niż dobre samopoczucie i zdrowie inwestora i architekta. Znacznie szerzej również, niż tylko interes lokalny, narodowy czy gatunkowy”¹⁶.

Jedną z pierwszych prac projektowych według zasad PAŻ było opracowanie St. Łabęckiego dotyczące rewaloryzacji miasta Rawicza. W pierwszym rządzie stworzono mapę nano-sząc (stosując W szarości) wszelkie negatywne zjawiska społeczne: występowania chorób układu krążenia, układu oddechowego i choroby reumatyczne, gruźlicę, stan techniczny budynków, kradzieże, rozboje, alkoholizm narkomanię, gwałty, zabójstwa, zagęszczenie ludności, wypadki drogowe. Po wieloczynnikowej analizie powstawała mapa, gdzie białe obszary znaczyły „zdrową” przestrzeń, a „czarne” chorobę. PAŻ postulowała architekt i urbanista ingerować tylko w przestrzeń chorą a nie dokonywać zamian na terenach „białych”. Po zebraniu tych danych autor projekt pojechał do Rawicza, aby zamieszkać na terenie projektowanych zmian w ten sposób kontynuować rozpoznanie przestrzeni i zachodzących w niej procesów. Prowadził rozmowy z mieszkańcami, urzędnikami, robił ankiety. Następnie, celem uniknięcia błędów, porównał plansze stworzoną metodami obiektywnej oceny, z planszą ocen subiektywnych. Jedną z plansz poglądowych „Rawicz obraz patologii” jest syntetycznym ujęciem zjawisk negatywnych z plastycznym dodatkiem zdjęć, obrazujących analizowane czynniki, w tym np. zdjęcia osadzonego w rawickim więzieniu skazanego¹⁷. Podobną mapę (metodę) PAŻ zastosowała w odniesieniu do Bielsko-Białej. Działania te miały ustrzec architektów i urbanistów przed nieuprawnioną ingerencją w dobrze funkcjonującą tkankę miejską. Z drugiej strony działania Pracowni poszły w stronę ekologicznego aktywizmu i zaangażowania się poszczególnych członków grupy w akcje bezpośrednie w obronie środowiska naturalnego: w obronie lasów, w tym lasów tropikalnych, w obronie zwierząt, itd. Ostatecznie tendencja ta nawet przeważała i w zasadzie Pracownia Architektury Żywej przekształciła się w Pracownię na rzecz Wszystkich Istot, radykalnie ekologiczny ruch. Ewolucja ta wynikała prawdopodobnie z dwóch przyczyn, rosnące przekonanie w szeregu grupy o konieczności bezpośredniej walki o zachowanie środowiska naturalnego, i, po drugie, brakiem zainteresowania, czy lekceważeniem przez nowy system polityczny (powstały po 1989 roku koncepcji wypracowanych przez PAŻ. Dziś Janusz Korbel mieszka w Białowieży i wraz z miejscowymi mieszkańcami tworzącymi Iową Ochrony Krajobrazu stara się konsekwentnie bronić, ja „najstarszego lasu w Europie”.

Architekt jako artysta - racjonalizm versus emocjonalizm. Od laufferki miejskiej do Food Not Bombs. Śmierć architekta.

¹⁶ „Zielona Antologia”, Gliwice 1989, s. 142

¹⁷ Andrzej Janusz Korbel, „Ekozofia urbanistyki”, Gliwice 1988, s. 55-60

Działania architektów były i są ograniczane przede przez zleceniodawców, bez których nie mogli i nie mogą się obyć. Jak twórca-architekt ma się uwolnić od tych zależności? Przemysław Trzeciak próbuje w swojej książce „Historia, psychika, architektura”¹⁸ określić podstawowe różnice między nurtem racjonalnym i emocjonalnym w architekturze. Sądzę, że nurt emocjonalny trafnie określa cele „architektury partycypacyjnej” w sensie artystycznym. Przede wszystkim jeżeli chodzi o motywy to ma się ona kierować „subiektywnymi względami ideowo-moralnymi” i odczuciami. Ch. Jencks, właśnie architektów otwarcie przyznających się do związków z myślą anarchistyczną, kojarzy z tradycją „intuicji”. Po drugie ważną cechą tego nurtu jest to iż jego przedstawiciele nie wiążą się z żadną bliżej określoną grupą mecenatu. Są to też częściej ludzie o wykształceniu akademickim. Być może mankamentem architektury jest również i to, uwagę tę zawdzięczaam jednej z osób związanej ze środowiskiem architektów, że w większości wypadków studia jej są umiejscawiane na politechnikach, a nie uniwersytetach, zatem przeważnie to są bardziej inżynierowie, niż humaniści.

Nurtowi emocjonalnemu, jeżeli chodzi o stosunek do tradycji, towarzyszy, zawsze znaczne zainteresowanie tradycyjnymi formami, choć z drugiej strony także zainteresowanie awangardą i poszukiwanie nowej formy. Sztuka musiała przejść przez anarchistyczny czyściec dadaizmu, zanim została uwspółcześniona. Oczywiście pod względem estetycznym dominują - zgodnie z zaleceniami Hunderwassera i jego „Manifestowi pleśni...” - swobodne układy, kontrasty, linie krzywe, niepodporządkowanie. Nurt ten cechuje nasycenie emocjami, treściami symbolicznymi, dążenie do oryginalności, niepowtarzalności i indywidualizmu; oddziaływanie na emocje człowieka. Pod kątem społecznym twórczości tej towarzyszy zawsze sprzeciw wobec procesów niwelujących i uniformujących, kojarzonych obecnie najczęściej z kulturą masową. Nurt emocjonalny występuje przeciwko dogmatycznemu racjonalizmowi, ujednolicaniu potrzeb ludzkich i mitowi architektury jako środka postępu społecznego i demokratycznego wychowania. Zygmunt Bauman podejmuje w swojej książce „Globalizacja” problem spustoszenia jakiego dokonano „w życiu realnie istniejących ludzi w imię wcielania w życie jakiś planów rozwoju czy odnowy”,¹⁹ stanowiących pochodną interesów ludzi związanych ze strukturami władzy i biznesu. „Gdziekolwiek dochodzi do realizacji takich planów - pisze Bauman - wysiłki, aby ujednolicić przestrzeń miasta, sprawić by stała się 'logiczna', 'funkcjonalna' czy 'czytelna', mści się rozpadem ochronnych sieci utkanych z ludzkich więzów, psychicznie wyniszczającym doświadczeniem opuszczenia i samotności, połączonym z poczuciem wewnętrznej pustki, przerażeniem z powodów wyzwań, które może przynieść życie, oraz udawanego analfabetyzmu w sytuacji wymagającej dokonania samodzielnych i odpowiedzialnych wyborów”²⁰. Wreszcie jeżeli chodzi o stronę techniczną, to nurt emocjonalny w architekturze nie przywiązuje wagi do materiału i jego ograniczeń, i nie rozpatruje problemu konstrukcji, zdając się tu na intuicję.

¹⁸ P. Trzeciak, „Historia, psychika, architektura”, W-wa 2000, s. 56

¹⁹ Zygmunt Bauman, „Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika”, Warszawa 2000, s. 56

²⁰ Zygmunt Bauman, tamże, s. 56.

Wyimaginowany (albo i nie) Instytut Społeczeństwa Alternatywnego to jak najbardziej realna grupa anarchistów rodem z Trójmiasta) wydał w 2002 roku książkę „Moje miasto”, gdzie opublikowano 48 tekstów. To dość dowolny w formie opis historii miast i odbioru ich przez poszczególnych autorów. Wśród nich znalazło się wiele osób kojarzonych z ruchem skłoterskim jak choćby Maciej „Metys” Hojak, Marek „Sanczo” Piekarski i Piotr „Piszpunf” Rachwalski związani z poznańskim skłotem „Rozbrat”, a także uczestnicy Federacji Anarchistycznej: Artur Kielasiak, Janusz „Jany” Waluszko, Lech „Lele” Przychodzki, itd.. W tym środowisku, problemy miasta pozostawały zawsze w centrum (choć nie bezkrytycznej) uwagi i chyba można powiedzieć, że dla wielu z nich miasto, zgodnie z tym co mówią Jacobs i Lefebvre, jest formą jakiejś utopii. Maciej Hojak pisze o swoich „lauferkach miejskich” czyli podróżach i odkryciach prawdziwej różnorodności miejsca: „Swojskość Poznania i każdej miejscowości składa się z wielu elementów, kawałków wielkiej układanki, którą my sami tworzymy. Nie zawsze jest ona uzależniona od tego, co istnieje, czyli architektury, dziejów czy jakiś zachowań, ale od tego, w jaki sposób na to patrzymy i odczuwamy. Co z tego, że miasto ma jakieś piękne ulice zabudowane pięknymi kamienicami, choćby i secesyjnymi, skoro interesuje nas poziom witryn sklepowych i całe życie możemy w taki sposób odbierać te miejsca. Wyżej spojrzeć, wejść przez bramę, wspiać się po skrzypiących schodach, znaleźć się na podwórzu, spojrzeć przez brudne okno klatki schodowej, dojrzeć poza bryłę budowli ludzi, potknąć się o bruk wychodząc, pociągnąć wina domowej roboty dla umilenia sobie podróży”²¹ Tworzącemu jednocześnie skłot i blokującemu eksmisję nie można odmówić Hojakowi prawa do nazwania siebie, w najgłębszych słowa tego znaczeniu, architektem, gdyby nie to, że słowo to uległo erozji. Tego rodzaju architektura zbiera wszystko to, co znajdzie się na obrzeżach społeczeństwa konsumpcyjnego, radykalnie przetwarza (choćby w warstwie symbolicznej, jak to jest w przypadku „ready-mades”) i wprowadza ponownie w obieg społeczny. Dzieje się tak zarówno w sferze jak najbardziej fizycznej jak też mentalnej, starając się zachować „lokalne” wartości miejsca. Kiedyś się pisało, że nurt emocjonalny zbliża architekturę do rzeźby, dziś możemy powiedzieć, że raczej czerpie inspiracje z działań typu performans, instalacji, doświadczeń ulicznego teatru. Jednak zasadniczym celem jest zadośćuczynienie radykalnym postulatom społecznym.

Food Not Bombs (FNB - Jedzenie Zamiast Bomb) zbiera niewykorzystaną żywność, która ostatecznie miała wylądować na śmietniku, gotuje ją na skłocie, przygotowuje pełnowartościowe wegetariańskie jedzenie i organizuje rozdawanie „na mieście”, np. pod dworcem kolejowym. W kolejce po nie ustawiają się ubodzy, głodni, brudni i śmierdzący kloszardzi czy starcy nie potrafiący się wyżywić za swoje emerytury lub okadzeni przez swoich synów alkoholików. Wychodzą ze swoich peronów i nor, udowadniają, że przynależą do tej struktury miasta, są jego mieszkańcami i obywatelami. „Stółówka FNB” powstaje w kontraście. Wszystko przebiega w pobliżu sterylnego McDonalds’a, gdzie za szybą, niczym na wystawie sklepowej, odbywa się konsumpcja „hamburgera”. Ulicą podjeżdża samochód z policją po cywilnemu i fotografują rozdających żywność. FNB wykorzystuje naturalne zadanie budynku dworca konieczne z punktu widzenia funkcjonalnego, wtapiając się jed-

²¹ Maciej Hojak, „Pozna(ń)j swój K-raj”, w: „Moje miasto”, Gdańsk 2002, s. 210-211

nocześnie w otoczenie ze swoimi termosami. O jej miejscu informuje przechodnia zrobiony ręcznie transparent. Przybyli jedzą siedząc na krawężnikach, lub wykorzystując parapety okien dworca. Cechą charakterystyczną FNB jest humanistyczne i ekologiczne przesłanie, ale też nietrwałość. Po godzinie nie ma po niej śladu. Może objawić się tu jutro, za tydzień, lub za dwa tygodnie, albo w zupełnie innym miejscu. Wszystko odbywa się w kraju, gdzie regularnie usiłuje się zminimalizować pomoc dla najuboższych, m.in. próbując odebrać dotację tanim barom mlecznym, a z drugiej strony wydaje się lekką ręką 100 mln. złotych na zbrojną interwencję polskich wojsk w Iraku.

W jednym ze swych wywiadów, współcześnie żyjący architekt Massimiliano Fuksas stwierdza: „myślę że architektura, tak jak rozumiano ją dawniej, dziś już nie istnieje”. I dalej dowodzi:

„Mówi się o niej coraz więcej i coraz mniej się jej potrzebuje. Obecnie we Włoszech mamy 125 czasopism o architekturze. Czy zatem mamy również dużo architektury? Nie. Ale istnieje 125 czasopism. To pokazuje słabość środowiska. Nie ma dyskusji, ale jest stos pisemek. Tak dużo budynków i tak mało wzruszeń. Jeśli o mnie chodzi, to zawsze uważałem, że dobry architekt musi zacząć... od zniknięcia. Inaczej mówiąc, musi mieć świadomość, że architektura nie rodzi się z architektury i nie żywi się architekturą. Architektura jak film, jest zarażona falowaniem współczesności. Oczywiście, dobrze jest znać jej początki, jej historię i rozwój, ale nie to stanowi źródło inspiracji dla architekta. (...) Dziś architekt powinien się zajmować wszystkim co wydarzyło się na świecie i wczoraj. Jak można realizować dobre projekty, gdy się zapomni o wojnach, o problemach środowiska, o trzech miliardach istnień żyjących w przeludnionych megalopoliach? (..) Chciałem przypomnieć, że trzeba się ponownie nauczyć włączania się w procesy, że trzeba zapomnieć, że się jest architektem, by być nim naprawdę”²².

²² „Na nowy wiek specjalnie dla ARCHITEKTURY Murator Corina Mersch rozmawia z Massimiliano Fuksasem”, Architektura 2/2003.

Rozdział 6. Zakończenie bez happy endu

Struktura miasta, staje się to zupełnie oczywiste, odzwierciedla różnice w statusie materialnym społeczeństwa poprzez segregację przestrzenną. Współcześnie sprowadza się do ucieczki klas wyższych, przy pogłębiających się dysproporcjach społecznych, na peryferia aglomeracji lub/i odgradzenia się w pilnie strzeżonych osiedlach. To próba wyizolowania się od ubożęcej reszty społeczeństwa i związanych z tym problemów: przestępczości, agresji, alkoholizmu, itd. Urbanistyka i architektura w swym nurcie racjonalnym, de facto dominującym, kreuje przestrzeń miasta podporządkowując ją potrzebom klas wyższych i neoliberalnej ekonomii. Kiedy w tym przypadku mówimy o racjonalności działań, mamy na myśli racjonalność, która sprowadza się do przybliżenia pewnych określonych, ale partykularnych celów. Dla nurtu emocjonalnego w architekturze, racjonalność oznacza coś innego. Są to działania nakierowane na porozumienie społeczne przełamujące alienację, wyrównujące dysproporcje. Urbanistyka i architektura racjonalna ostatecznie promuje współzawodnictwo, przyczynia się do koncentracji władzy i siły, opowiada się za biurokratyzmem i technokracją, Nurt emocjonalny oferuje pomoc wzajemną decentralizację, partycypację społeczną samorządność i głęboką demokrację. Dla emocjonalistów miasto to fascynujący, żywy organizm, gęsta sieć powiązań międzyludzkich, idealne zatem środowisko dla dekompozycji władzy. Dla racjonalistów miasto to „maszyna do mieszkania lub raczej do „robienia pieniędzy”, miejsce koncentracji władzy i możliwości łatwiejszego zapanowania nad żywiołowymi siłami społecznymi, w imię ekonomicznej racjonalności - zysku.

W takich warunkach za naturalne trzeba uznać pojawienie się Pytania: czy aby poprawić warunki życia w mieście i znieść planowanie Przestrzenne podporządkowane interesom kapitalistycznej gospodarki, trzeba zmian totalnych? Czy dotychczasowi właściciele muszą zostać na przykład wywłaszczeni? Jednak takie działanie to próba zastąpienia jednego partykularyzmu innym, które ostatecznie może nie przynieść pożądanych skutków. Za czasów funkcjonowania realnego socjalizmu dokonano wywłaszczenia dotychczasowych właścicieli, ale „sytuacja w mieście się nie zmieniła To poważny problem dla marksistów Niektórzy z nich zatem - jak Tony Cliff¹ - stawiają tezę, że tak naprawdę realny socjalizm (w Rosji i krajach satelickich) jest jedynie inną formą kapitalizmu. To bardzo ciekawa koncepcja. W tym jednak czasie kiedy część zachodniej lewicy skupiała się na udowodnieniu tej tezy, w krajach realnego socjalizmu z pieczołowitością poczęto analizować, jaka jest faktyczna natura socjalistycznego państwa. „Engels powiada, że błędem jest żądanie zniesienia państwa przed zniesieniem własności prywatnej, którą państwo zrodziło i utrzymu-

¹ Tony Cliff, „państwowy kapitalizm w Rosji”, Warszawa 1991

je. I dowodzi tylko w ten sposób braku zrozumienia faktu, iż monopol środkami przymusu rodzi samoistny podział klasy”, mówił ówczesny dysydencki profesor Leszek Nowak we wrześniu 1981 roku². Otóż planowanie przestrzenne (i wszystko co się z nim wiąże) jest właśnie jednym z środków przymusu, dzielącym społeczeństwo na klasę obywateli i klasę władców. Planowanie przestrzenne w czasach realnego socjalizmu pełniło taką samą rolę, jak w poprzedzającym go systemie kapitalistycznym. Tworząc samowolnie miasta i osiedla obywatele naruszają wyłączność władzy na działania planistyczne i staje się to często źródłem głębszych sprzeczności społecznych niż własność. Dopiero „uwzględnienie zarówno upieniężnienia, jak i etatyzacji (zwanej czasami biurokratyzacją), jako dwoistej drogi do urzeczowienia i zniewolenia pozwala na konstrukcję teorii rozwoju społecznego...”³ - jak twierdzi Habermas - która wskaże ewentualne „sfery działań wyzwolicielskich”.

Przestrzeń miejska jawi nam zatem się jako źródło zróżnicowanych podziałów społecznych i konfliktów ogniskujących się zarówno w obszarach życia gospodarczego i politycznego, wobec problemu własności, pracy i dystrybucji dóbr, jak też partycypacji i represyjnej funkcji władzy politycznej. Nie ma tu - zwłaszcza dziś - uprzywilejowanej pozycji jakiejś określonej klasy społecznej, która byłaby gwarantem czy akuszerką zmian. Pomimo przestrzennego sąsiedztwa, różne grupy społeczne środowiska miejskiego uległy wyodrębnieniu (atomizacja) i skolonizowaniu przez poszczególne - jak stwierdza Habermas, podsystemy, poddając się ich celowo racjonalnemu dyktatowi. Przedstawiciele szkoły frankfurckiej (w tym Habermas i Marcuse) kwestionowali na tej podstawie rolę klasy robotniczej jako gwaranta zmian społecznych. Ryzykowne byłoby twierdzić, że kompletnie wyczerpał się wśród pracowników najemnych potencjał w dążeniu do zmian. Wystarczy choćby spojrzeć na to, co się stało w Polsce w 1980 i na wydarzenia w Seattle w listopadzie 1999 roku, a także na ostatnie masowe protesty pracownicze w całej Europie. Zwrócimy też uwagę, że są oni społecznie upośledzeni zarówno w sensie ekonomicznym, jak politycznym. Jak jednak pisze Hakim Bey samoorganizujące się i autonomiczne grupy rozwijają się w łonie każdej „klasy” i „subkultury”⁴. Dziś bardziej niż kiedykolwiek indziej ruch społecznej emancypacji przybiera amorficzne, niejednorodne struktury, bez wyraźnego przewodnictwa i klasowej dominacji. Może zatem rację ma Habermas twierdząc, że poszukiwanie nowej tożsamości nie może w zglobalizowanym świecie opierać się na konkretnej masowej organizacji (typu związek zawodowy, czy partia). Z tego wynika także, że, na poziomie strategicznym, aktywność w mieście, obojętnie jak byliby to trudne powinny uwzględniać konieczność tworzenia szerokich koalicji w walce przeciwko władzy: robotnicy i bezrobotni, rosnący w siłę lumpenproletariat, ekolodzy z klasy średniej, młodzież, przedstawiciele mniejszości etnicznych, itd. muszą razem wystąpić przeciw narzucanym ograniczeniom, ale wcześniej muszą się porozumieć. W sensie teoretycznym jest o tym przekonany, w praktyce rzecz ta wydaje mi się ekstremalnie trudna do zrealizowania. A jednak było to możliwe podczas rewolucji w Polsce w latach 1980-81, która pomimo różnych historycznych ocen, jest waż-

² Wakat, NZS Łódź, wrzesień 1981.

³ Sławomir Magala, „Kolonizacja życia codziennego (Jurgen Habermas i konieczność historyczna)”, *Studia Filozoficzne* 7/1984

⁴ Hakim Bey, „Permanent TAZs”, wrzesień 1993

na częścią naszej politycznej tożsamości. Ruchy są dodatkowo obarczone historycznymi błędami: np. niemieccy autonomiści utracili kontakt ze środowiskami robotniczymi, duże związki zawodowe często odcinały się od ruchów społecznych, a głębocy ekolodzy nie widzieli potrzeby walki socjalnej, mniejszości etniczne żyją często w swoich gettach zamkniętych dla profanów, itd.

Musimy też pamiętać, że nie chodzi w tym wszystkim o stworzenie idealnego miasta. Po wszystkich doświadczeniach, możemy stwierdzić, iż nie tylko, że nie ma żadnego końca historii zwycięzonego kapitalizmem (w wydaniu globalnym i neoliberalnym, czy jakimś innym), ale nie ma też prawdopodobnie żadnego innego końca historii: ani socjalistycznego, ani anarchistycznego. Z tego wynika, że jeżeli „inny świat jest możliwy” to jedynie „tu i teraz”. To oczywiście nie jest nowa konstatacja, jak również i ta, że postawa anarchistyczna nie wiąże się już dziś z jakimiś przyszłościowymi rozwiązaniami, ujętymi w karb jakiejś konkretnej teorii, ale z przekonaniem, że anarchizacja życia społecznego pomaga zachować całkiem spore obszary, gdzie dominuje solidarność i pomoc wzajemna, zamiast współzawodnictwa i władzy. Nie chcemy zatem miasta idealnego, ale samorządne radykalnie demokratyczne.

Koncepcje socjalistycznego, czy anarchistycznego końca historii zakładają istnienie, jak nazywa to Leszek Nowak, „ewangelicznego modelu człowieka”, który oczywiście realnie nie występuje, jest mirażem. Musimy tworzyć wolne przestrzenie z ludźmi takimi jacy oni są, a to oznacza, że to nigdy nie jest idylla. Nasze „real-utopie faktycznie bardziej przypominają pirackie porty, o których pisze Hakim Bey. Wiele tam emocji, konsensus osiąga się trudno, dezercje są na porządku dziennym. Może dlatego, że - jak pisze M.Bookchin krytykując egocentryzm autora „Tymczasowej Strefy Autonomicznej” uczniowie Bey a cieszą się z monadycznego życia i bezdomności, traktowanej jako „przygoda” tylko wówczas, gdy istnieje dom do którego można wrócić, „nomadyzm jest luksusem dla tych, którzy nie muszą zarabiać na życie - konkluduje.⁵ Można jednak powiedzieć za Beyem, że koncepcja TSA przypomina nam przede wszystkim, iż „to się dzieje”: „nie mówimy o tym co być powinno, albo co będzie, ale o obecnie istniejącym ruchu. Nasze powoływanie się na różne eksperymenty myślowe, utopijnych poetów, paranoiczny krytycyzm, itp. ma tylko pomóc w wyjaśnieniu zawiłości, (...) dać kilka teoretycznych podstaw, aby uzyskać świadomość oraz zasugerować taktykę opierającą się na spójnej i całościowej strategii; aby działać jak akuszerka albo panegirysta, a nie jak ochroniarz”⁶.

⁵ Murray Bookchin, *Anarchizm jako chaos*, A - tak nr 8

⁶ Hakim Bey, „Permanent TAZs”, wrzesień 1993

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Jarosław Urbański
Odzyskać miasto
Samowolne osadnictwo, skłoting, anarchitektura
2005

pl.anarchistlibraries.net